DZIEWCZYNA I DAMA

CZYLI

DWA OŚWIADCZENIA.

DRAMAT W CZTÉRECH AKTACH

PRZEZ

J. Korzeniowskiego.

PISANY 1837 ROKU.

WARSZAWA.

Nakładem **Rubena Rafałowicza** Księgarza w Wilnie.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego.

1848.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby exemplarzy.

W Warszawie dnia 18/30 marca 1848 r.

Cenzor,

P. Dubrowski.

J. I. KRASZEWSKIEMU

DRAMAT TEN

OFIARUJE AUTOR.

OSOBY.

MĘŻCZYZNI.

Hrabia Zbicki.
Alfred Roziński, }
Karol Łążski, }
Joachim, } Koledzy.
Antoś, }
Kapitan, }
Kommissarz hrabiego.
Kamerdyner tegoż.
Lokaj Karola.
Lokaj pani Adamowéj.
Goście płci męzkiéj.

KOBIÉTY.

Pani Adamowa.
Anusia, jéj służąca.
Kasia.
Pani Pułkownikowa.
Sąsiadka Pułkownikowéj.
Inne panie i panny jako goście na wieczorze.

AKT I[szy].

SCENA PIÉRWSZA.

(*Pokój Karola Łążskiego. — Hrabia, Joachim, Antoś, Kapitan i jeszcze dwóch lub trzech mężczyzn siedzą przy kartach.— Karol w szlafroku — po chwili Alfred. — Noc*).

Alfred (*szybko wchodzi*).

Kolego! Karolu! chodźno, jeśli ci Bóg miły!

Karol (*trzymając karty*).

Moja talia — idzie nieźle — wybaczaj.

Antoś.

Przeklęty walet! już trzeci raz wygrywa! Teraz widzę epoka waletów.

Alfred (*stojąc przy krześle*).

Gdzie są króle i damy muszą być i walety; a biada temu, kto na nich polega.

Karol.

Kto trzyma bank, temu dobrze służą.

Joachim.

Atendez! proszę o talią.

Alfred.

Bójcie się Boga! trzecia godzina. Spać, spać koledzy! — Jakże się udało hrabiemu?

Hrabia (*obojętnie*).

Wygrałem kilkadziesiąt dukatów, (*jedni wstają, drudzy obrachowują wygraną*).

Antoś.

O co tu pytać! Fortuna taka waryatka, jak nasz stary Zelisław: zawsze złoto do złota.

Hrabia.

Tylko że ja niezawsze jéj odpowiadam, jak ów Niemiec: *habdank.*

Alfred.

Hrabia od niejakiego czasu tak szczęśliwy, w tak szczególniejszym jest sztosie, że gdyby się uwziął nas młodych odsadzić od jakiéj pięknéj rączki, wierzcie mi że pomimo....

Hrabia.

Cóż — pomimo garbu, który mi siedzi na karku jak zły sąsiad; pomimo tych kości stérczących, pomimo wszystkich i t. d., jakie się

znaleźć mogą, czy to chciałeś powiedzieć? — Nie żenuj się asan, nie jestem stara kokietka, i mogę słyszéć prawdę.

Antoś.

Pomimo tego wszystkiego, co tu hrabia powiedział, jabym z nim nie stanął w szrankach.

Alfred.

Czy tak źle o sobie trzymasz!

Antoś.

A trzy miliony.

Alfred.

Ja lepszą mam opinią o kobiétach i staję.

Karol.

I ja — na złość fakultetowi.

Hrabia.

Młodzi jesteście, bez doświadczenia! mógłbym przyjąć wyzwanie.

Karol.

Tymczasem po kieliszku na dobranoc (*klaszcze*) daj wina — Alfredzie! zastąp miejsce gospodarza i zaczynaj.

Alfred.

Za zdrowie starego hrabiego przyszłego zwycięzcę młodych, nietylko w kartach.

Antoś.

Za zdrowie wszystkich pięknych wdówek — Alfredzie do ciebie.

Kapitan.

Na cześć i chwałę dwóch talij, które mi służyły.

Joachim.

Za zgubę wszystkich waletów — panie Antoni, do asana.

Antoś.

Niech ich djabli wezmą — ostatnie 10 dukatów przepadło. — Nie przyjmuję.

Hrabia.

Moi panowie! jeżeliście łaskawi, proszę asanów jutro do siebie.

Antoś.

Służymy.

Hrabia.

Karolu! ty jeszcze nie wychodzisz?

Karol.

Wątpię, aby mnie jutro wypuścili z klatki.

Hrabia.

To ciebie Alfredzie czekam.

Alfred.

Za parę godzin wyjeżdżam.

Inni.

Dobranoc.

Karol i Alfred.

Adieu! (*wychodzą*).

Hrabia (*z uśmiechem*).

Powiédz mi Alfredzie! czy pani Adamowa wyjeżdża?

Alfred.

Nic o tém nie słyszałem.

Hrabia.

Nic? a!

Alfred.

Dlaczegóż to hrabiego dziwi?

Hrabia.

Mój panie! jestem stary, widziałem wiele i nic mnie nie dziwi. — Dobranoc (*wychodzi*).

Karol (*wyprowadzając go*).

Dobranoc ci panie hrabio!

Alfred.

Monstrum (*do siebie*) domyślałżeby się czego!..

Karol.

Szczęśliwy człowiek! ma rozum i pieniądze. Zdaje mi się, żeśmy się za płocho puścili z nim w zawód.

Alfred.

Dziecińistwo! patrzaj tu (*pokazuje mu portret*).

Karol.

Pani Adamowa! podobna.

Alfred.

Te same oczy wielkie, niebieskie, czyste jak niebo, chmurą czarnych rzęsów przyćmione; ten sam uśmiéch pełen dobroci i uprzejmości, taż kibić, za któréj ujęcie dałbyś połowę życia!

Karol (*do służącego*).

Daj mi sygaro.

Alfred.

Nudzę cię! czy przegrałeś?

Karol.

Bynajmniéj, ale wpadasz w poezyą. Lubię wtenczas patrzéć na dym tytuniu, żebym także miał porównanie gotowe. Wiem, że piękna; że ci głowę zawróciła, widziałem; żeś od kilku tygodni musiał znacznie w tym zawrocie postąpić, domyślam się. Ale powiédz mi, czy ona cię kocha?

Alfred (*pokazuje miniaturę*).

Mam to od niéj — czy to nie dosyć?

Karol (*pokazując dym*).

Od takiéj kobiéty? wybaczaj — to nie dowód.

Alfred.

Karolu! jestem twoim przyjacielem, ale mogę się rozgniewać.

Karol.

Niémasz przyjaźni któraby nie pękła, białą i miękką rączką dotknięta. Wszakże bądź rozsądnym. Przystoiż ci dać się uwodzić jak młodzikowi? Ona za ciebie nie pójdzie.

Alfred.

Gdybym chciał możeby i poszła. O! słuchaj, zbyt wiele szczęścia rozpiéra moje piersi; chciałbym sobie ulżyć i połowę jego wylać na twoje przyjacielskie łono.

Karol (*odrzuca sygaro*).

Z całą uwagą, z całém sercem słucham cię (*siadają*).

Alfred.

Karolu! znasz mój charakter, moje uczucia, wiész w czém i jak dalece na mnie polegać można. Ale nie wiész przez com przeszedł, com cierpiał. Nie będę ci teraz dziejów moich opowiadał. Muszą być niemiłe, kiedy ty do téj pory ich nie znasz. Wreszcie, już po trze-

ciéj, dzień blizki, przedemną droga, przed tobą łóżko; a w twoim stanie zdrowia, potrzebujesz odpoczynku.

Karol.

Owszem mów, mów wszystko. Słucham z uwagą.

Alfred.

Dosyć ci wiedzieć, żem nieraz był w tak ciasnych okolicznościach, śród ścian tak wązkich, pod ryglem tak ciężkim, że ani mój przemysł, ani moja siła podważyćby go nie mogła. Bez anioła opiekuna przyszłoby zginąć, a co gorsza spodlić się. Wiészże, kto w każdéj biédzie, w każdym kłopocie był moim aniołem? Ona, zawsze ona. Ta sama kobiéta, któréj twarz przyciskam do serca, którą ty nazywasz kokietką, a która jest — aniołem.

Karol.

Więc kochała cię oddawna? i kocha dotąd? Toby mię najwięcéj zadziwiało.

Alfred.

Nie. — Byłto skutek téj dobroci niepohamowanéj, któréj żaden kaprys, żadna chmura zamącić nie może. Sąsiad przypadkowy, zdaleka znajomy, przyjechałem raz do niéj

wtenczas, gdy mi się zdawało, żem kochał jakąś daleką kuzynkę, pannę, która już podskoczyła w lata i w słup poszła, ale jeszcze nie doścignęła tego wieku, w którym kobiéta bierze piérwszego, co się zdarzy. Bogatsza odemnie, z góry patrzała na biédnego chłopaka, który śmiał oczy podnieść na jéj dojrzałe wdzięki. Ubodło mię to; byłem zły i zmartwiony, a dość młody i głupi, żem moich uczuć utaić nie umiał. Nie pamiętam już, jakim sposobem przyszło do tego, żem się sąsiadce mojéj zwierzył. W słowach jéj pociechy, jéj perswazyi było tyle rozumu, tyle dobroci, tyle serca, że odtąd stałem się jéj przyjacielem, a ona moją — opatrznością. Ale rozgadałem się, a ty już chcesz spać.

Karol.

Alfredzie! tą niewczesną delikatnością nudzisz mię. Powiadam, że słucham z uwagą.

Alfred (*przechadzając się*).

Przepraszam cię, w dziwnym jestem stanie. Czego te kobiéty z biédną naszą głową nie zrobią!

Karol.

To wiadomo, jeszcze od czasów Adama. Ale cóż daléj?

Alfred (*staje przed nim*).

Śmierć uwolniła ją od męża.

Karol.

O! tak, przy tych żonach dobrych i ludzkich, mężowie zwykle niedługo-wieczni.

Alfred.

Daj mi słowo, że zrobisz o co cię prosić będę.

Karol.

Spodziewam się, że rzeczy uczciwéj żądasz — oto moja ręka.

Alfred.

Nigdy przy mnie nie mów o niéj lekko.

Karol.

Przyrzekam — ale cóż daléj?

Alfred.

Przypadek zebrał nas w tém mieście. Stałem się jéj codziennym gościem. Wprowadziłem i was w jéj dom; a twoja i jéj przyjaźń były ustawicznym pokarmem mojéj duszy, pociechą mojéj myśli. Zwolna, wiész jakto bywa, niedosyć mi było ją widziéć, z nią rozmawiać; ale potrzebowałem usiąść przy niéj, dotknąć przynajmniéj jéj sukni, jéj ręki. Nie przyszło mi przecież jeszcze do głowy, żem

ją kochał. Uważałem to za naturalny postęp poufałości, codziennóm widywaniem się dojrzewającéj. Jednego wieczora, gdyśmy byli sami, gdym siedząc przy niéj słodko rozmawiał i jéj rękę trzymał... pomimowolnie ją ściskając, uczułem ściśnienie; w oczach jéj zajaśniało coś więcéj nad przyjaźń; dłoń drugiéj jéj ręki przyszła do ust moich, a moja głowa spadła na jéj kolana. Nigdy mi się tak piękną nie wydała. Zadziwiłem się, żem téj piękności, tego wdzięku, tych czarów dawniéj nie widział. (*Zrywa się*) Odtąd zmierzyłem całą głębią uczucia, które mię do niéj ciągnęło. Czas to niedawny; wszystko jeszcze świéże i zielone w mojéj myśli, w mojéj duszy. Karolu! ty masz młodość i serce, ty mię rozumiész.

Karol.

Nawet ci zazdrościć zaczynam, tak mi szczérym się wydajesz.

Alfred.

Jednak niebo moje nie było bez chmur. Dotąd jéj uprzejmość dla wszystkich, jéj lekki humor bawił mię. Odtąd zacząłem cierpiéć, że się samochcąc narażała na strzał komerażnic; niekiedy, wyznać to muszę, bywałem seryo zazdrosnym, a raz poczułem z całym bó-

lem szpony téj furyi, i poznałem, ile może być cierni w różach, goryczy w szczęściu, boleści w rozkoszach. — A wiész, kto to okropne światło do serca mego wrzucił?

Karol.

Naprzykład?

Alfred.

Ty.

Karol (*śmieje się*).

Alfred.

Nie śmiéj się, tyś igrał, a jam płakał.

Karol.

Mógłżeś do mnie miéć żal jaki?

Alfred.

Żadnego, nie wiedziałeś o niczém.

Karol.

Wreszcie, przyznam ci się, że to ostatnia kobiéta, coby mię przyprowadziła do grzéchu.

Alfred.

Ba! tak się to mówi. — Ale to przeszło. Ktoby ją powierzchownie sądził, mniemałby, że to płoche stworzenie nie ma nic w piersiach, coby odpowiedziało silnie biciu gorącego serca. — Fałsz, fałsz największy. Przekonałem się, ile mają łez miłości te piękne oczy,

ile warte każde jéj słowo, gdy odkrywa jéj duszę przejętą, przeniknioną, wzajemną.

Karol.

Złyś w téj mierze sędzia, mój poczciwy Alfredzie; jesteś w gorączce i pulsa twoje nie tak biją jak trzeba. Za kilka tygodni pomówimy o tém.

Alfred.

Dałeś słowo.

Karol.

Przepraszam cię; ale mi idzie o ciebie.

Alfred.

Ja jestem szczęśliwy, dumny — głos mojéj miłości odbił się w jéj łonie czystém, srebrnym echem. Uściskaj przyjaciela, któremu się szczęście uśmiecha, który tobie największy skarb serca swego powierza.

Karol.

Znasz mię.

Alfred.

I dlatego nie proszę cię o sekret, ale musiałem się nim z tobą podzielić.

Karol.

Dziękuję ci za ten dowód przyjaźni, dobry Alfredzie! — Dokądże teraz jedziesz?

Alfred.

Do mojéj matki — zabawię może ze dwa miesiące, a wpatrując się w ten obraz, żyć będę nadzieją zupełnego szczęścia — ha! jak mi głowa płonie! — ale już po czwartéj. — Bądź zdrów poczciwy Karolu.

Karol (*ściskając jego rękę*).

Jedź szczęśliwy. — Nie potrzebujesz pieniędzy?

Alfred.

Nie — ale daj mi swoje pistolety.

Karol (*klaszcze — do służącego*).

Zanieś moje pistolety do pana. — (*Do Alfreda*) Przyjmij je na pamiątkę téj chwili.

Alfred.

Dziękuję ci. — (*Nieśmiało*) Już tak późno; tyś chory, a ja cię jeszcze muszę nudzić. — Jeszcze jeden sekret.

Karol (*siadając*).

Służę ci — siadaj.

Alfred.

Nie znałeś we mnie téj gwałtowności; nie zdawało ci się zapewnie, abym mógł być zdolnym do takich uniesień. O! mój dobry Karolu!

ja się sam odurzam, a w głębi duszy czuję, żem na to szczęście nie zasłużył.

Karol.

Więc jéj nie kochasz?

Alfred.

Ha! żadnéj tak nie kochałem. — Ale wieluż mówiłem że je kocham!

Karol.

No! któż tego nie mówił! — Dziwnyś z tak osobliwszym skrupułem. Czy myślisz że one temu wierzą?

Alfred.

Jedna uwierzyła — i to mię dręczy. To jest właśnie skała, o którą łódka mojego szczęścia zadziéra się. Biédna, prosta, niewinna dziewczyna! Bez żadnych widoków, bez żadnéj nadziei kocha mię, dlatego tylko że mię kocha, i taką miłością, do jakiéj tylko prosta, biédna, szczéra dziewczyna jest zdolną. — Piękność rzadka! w skromnéj duszy myśl wykształcona, i wysokie uczucie pełne prawdy i głębokości. — O! wierz mi, szczęście moje niezasłużone!

Karol.

Gdzież ona?

Alfred.

Jest tu ze mną; o kilka kroków ztąd mieszka.

Karol.

Słuchaj Alfredzie! tyś się w czépku urodził. Wszakże to ledwie jakiemu królowi zdarzyć się może, żeby go razem dwie kobiéty— szczérze kochały. Któż jest ta Heloiza? — O téj przynajmniéj pozwolisz powiedziéć co mi do głowy przyjdzie.

Alfred.

Nie — i o téj nie mów. Lub przynajmniéj wtenczas, gdy ją poznasz. I o to właśnie chciałem cię prosić! Jak powiadam, mieszka ztąd niedaleko. W narożnéj kamienicy na drugiém piętrze. Pytaj się o pannę Katarzynę. Kto ona jest? jakim sposobem ująłem jéj serce; tego ci teraz nie powiém. To mgła przykra, która mi zachmurza jasność obecnéj chwili. Bądź tylko u niéj; powiédz jéj, że już jéj więcéj widziéć nie mogę. Ale nie mów dlaczego. Powiédz: że interes, że konieczność, powiédz co chcesz, tylko prawdziwéj przyczyny nie mów.

Karol.

Czemuż do niéj nie napiszesz?

Alfred.

Twarz jéj zbyt obecna mojéj myśli. Patrzyłaby mi w oczy, gdybym pisał i nie mógłbym kłamać. Wreszcie, może będzie potrzebować twojéj pomocy, opieki. Może zechce wrócić do domu. Nie odmawiaj mi tego, i bądź zdrów. Wstydzę się teraz spojrzéć ci w oczy. Żaden przyjaciel nie widział jeszcze tak jasno do dna w sercu przyjaciela. A przecież jeszcze tam leży jedna myśl, która się podnieść nie śmié.

Karol.

Cóż?

Alfred.

Za dni kilka, może za kilkanaście ona tu wróci. Ja będę daleko. Ty ją będziesz widywał codzień. Rozum jest niewiernym stróżem serca. Gdyby czasem... w złą chwilę... (*wstrząsa się*). Nie, tyś mi więcéj jak brat; tyś mój przyjaciel. Bądź zdrów (*wybiega*).

Karol.

Zwaryował chłopiec, (*przechadza się*) nie spodziewałem się jednak o czwartéj godzinie po północy tyle ciekawych rzeczy dowiedziéć! Biédny Alfred! wybudował sobie zamek na gruncie djable pochyłym. Tém lepiéj dla niego.

Dziś może się ucieszyć obietnicami ładnéj kobiéty; jutro będzie szukać pociechy na łonie filozofii. Ale zainteresował mię obrazem tego biédnego stworzenia, które opuścił. Jacy my głupi! miłość, poświęcenie, prostota, niczém są; trzeba nam koniecznie salonu, perfum i karety; tak bywało, co gorsza, że tak będzie zawsze. (*Klaszcze do służącego*) Daj mi ziółek (*wychodzi*).

SCENA DRUGA.

(*Salon pani Adamowéj, na prawéj ręce drzwi od jéj sypialnego pokoju; na lewéj wchodowe—przy prawéj stronie kominek z dużém zwierciadłem*).

Hrabia (*wchodzi po chwili*).

Przyjęła mię, a nie wychodzi — czy nawet dla mnie pretensye! Lecz nie mam się czém nadymać. Kobiéty tego rodzaju są jak poeci. Lada czyja pochwała ich ucieszy.

Anusia (*wchodzi*).

Pani przeprasza pana grafa, że jeszcze nie wyszła. W ten moment się ubierze.

Hrabia.

Nic nie szkodzi, moja panno. Obowiązkiem naszym cierpliwość.

Anusia.

Przed ślubem, słyszałam.

Hrabia.

Widać moja asanno! że ci ślub w głowie. A twojaż pani nie myśli o tém?

Anusia.

Może pomyśli późniéj, jak będzie starsza. Teraz wątpię.

Hrabia.

Wszak związek małżeński nie jest dla starszych, ale dla młodszych.

Anusia.

Czemużeś się pan nie żenił dawniéj.

Hrabia.

O mnie niéma co mówić. Ale żeby ci co przypomniało, że i tobie już czas za mąż, przyjm to odemnie (*daje jéj pierścień*).

Anusia.

Pan graf mnie zawstydza. Ale pani woła. (*Odchodząc i przypatrując się podarunkowi*) Wspaniały, rozumny, (*poglądając nań*) ale monstrum.

Hrabia (*sam*).

Zdaje mi się, że wymówiła słowo, które ciągle słyszę. Byłem wtenczas dzieckiem.

Z sercem pełném miłości zbliżyłem się raz do łona matki. Podała mi rękę, odwróciła się i powiedziała: monstrum. Głos ten został w moich uszach, i skréślił całą koléj mojego życia. Wzrosłem; dojrzał rozum, dojrzało serce, ozwały się jego potrzeby. Wieleż razy zbliżałem się do młodéj, niewinnéj istoty, chcąc przed nią wynurzyć moje uczucia, wymówić tę prośbę: kochaj mię; powiedziéć jéj, jakbym zdolnym był kochać, jakbym mógł odpłacić szlachetnemu sercu jego przywiązanie. Ale dziwna jakaś moc mię odpychała. Gdy oświadczenie dopiéro w myśli mojéj dojrzało, już zdawało mi się widziéć na jéj ustach odpowiedź — monstrum. I tak przeszła młodość, i na téj wązkiéj głowie włosy pobielały. Wprawdzie i wtenczas mógłbym był znaleźć jaką podstarzałą piękność, coby pokochała moje miliony, ale ja czułem potrzebę szczęścia, i serce moje było pełne miłości. A w takim związku cóżby mię czekało? Onaby miała wstręt do mojego ciała, a jabym gardził jéj duszą. Dziś potrzebuję tylko przyjaciołki, gospodyni domu, któraby mi uweseliła starość; i dziś śmielszym być mogę.

Pani Adamowa (*wybiega*).

Przepraszam, sto razy przepraszam kochany hrabio, żem cię zatrzymała.

Hrabia.

O! Pani Dobrodziéjko, te tylko panie, których widok nie wynagradza oczekiwania, nie powinnyby doświadczać naszéj cierpliwości. Pani masz do tego zupełne prawo.

Pani Adamowa (*przed lustrem*).

Tak byłam niecierpliwa, żem nawet nie spojrzała w lustro wychodząc. Nie znajdujeszże panie hrabio, żem szkaradnie ubrana? Ale siadajże proszę.

Hrabia.

Najważniejszém jest zdanie tych, którzy jeszcze mogą stanąć w szrankach. Ja już jestem za baryerą, i mój oklask jest tylko wrzawą motłochu.

P. Adamowa.

Skromność twoja nieszczéra, panie hrabio! wreszcie masz gust i pobłażliwszym będziesz, niż tutejsze panie, które mię nielitościwie szarpią. Ktoby im na słowo uwierzył, myślałby, że ja jestem monstrum.

Hrabia (*na ten wyraz krzywi się*).

P. Adamowa (*odwraca się*).

Szkaradny!

Hrabia.

Panie nie powinnybyście polegać na zdaniu kobiét. Tymczasem przeciwnie się dzieje. Ubiéracie się więcéj dla nich, niż dla nas. I w téj mierze taki sam błąd popełniacie jak artyści, dający koncerta, którzy więcéj o tém myślą, ażeby zwyciężyć zazdrość, niż podobać się publiczności. Dla kobiét są *salto mortale* toalety; dla nas gust i skromna przystojność. I dziś jesteś pani dobrze ubrana.

P. Adamowa.

Czy wiész hrabio! żem dawno nie była z pochwały równie kontenta. (*Do siebie*). Ale on nie jest tak brzydki, kiedy mówi. A propos, czyto prawda, że się Alfred żeni?

Hrabia.

Nie słyszałem, wiém tylko, że dziś wyjechał.

P. Adamowa (*szukając niby czegoś w stoliczku*).

Doprawdy? a dokądże.

Hrabia.

Czy wyjechał bez pożegnania?

P. Adamowa.

Jest coś złośliwego w tém zapytaniu, i dziwną jakąś myśl pokrywa.

Hrabia.

Czy pani rozumiész, że tak łatwo zgadnąć co ja myślę? Na licu młodém, okrytém mchem i rumieńcem dojrzewającéj brzoskwini, malują się wszystkie myśli, i czytelne są jak na welinowéj karcie. Moja twarz jestto brulion, na którym w prawo i w lewo, do góry i na dół różne rzeczy popisane, których nikt wyczytać nie zdoła, tylko sam autor. Gdybyś pani wiedziała co ja myślę, możebyś się przestraszyła.

P. Adamowa.

Więc nie mów panie hrabio.

Hrabia.

Bądź pani spokojna. Z kimże żenią Alfreda?

P. Adamowa (*patrząc w ziemię*).

Z jakąś niemłodą osobą, ale bogatą.

Hrabia.

Powinien korzystać.

P. Adamowa.

Jak się cieszę, że podzielasz moje zdanie.

Hrabia.

Czy i pani poszłabyś za niemłodego człowieka, któryby miał majątek?

P. Adamowa.

Bez namysłu, byle nie był monstrum. (*Wstaje i idzie do zwierciadła*).

Hrabia (*do siebie*).

Otoż znowu.

Anusia (*wchodzi*).

Czy pani każe wziąć i tekę z papiérami?

P. Adamowa.

Moja kochana! wszak po to jadę.

Hrabia.

Więc i pani wyjeżdża?

P. Adamowa.

Za parę godzin. Muszę jechać. Te nieszczęśliwe interesa! Biada wdowom, nieprawdaż panie hrabio?

Hrabia.

Na długoż panią tracimy?

P. Adamowa.

Możnaż przewidzieć jak się interesa złożą? Mam kompromis i czy się zjadą? jak długo każą na siebie czekać? Wiész panie hrabio, jak

te rzeczy u nas idą. Przytém jestem tak niezdrowa.

Hrabia.

Szczęśliwéj podróży życzę. Ale pozwól pani sobie przypomniéć, że my tu osieroceni zostaniemy.

P. Adamowa.

Czy wy myślicie o nas? byleście mieli damy pikowe i treflowe, te wieczne rywalki nasze.

Hrabia.

Sąto tylko rywalki żon, piękna pani (*kłania się i odchodzi*).

P. Adamowa.

Złośliwy i bezecny jak szatan. — Ale jakążto mógł mieć myśl, coby mnie przestraszyła? O! w rzeczy saméj, żebym się przestraszyła, gdyby mu przyszło do głowy (*śmieje się*) fi!

Anusia.

Niechno pani patrzy, może tu i niéma z czego się śmiać (*pokazuje pierścień*).

P. Adamowa.

Ładny pierścień.

Anusia.

Prezent hrabiego.

P. Adamowa.

Panna Anna przyjmuje prezenta od mężczyzn?

Anusia.

To są listy na moje ręce, ale nie do mnie.

P. Adamowa.

Bardzoś domyślna. Drugi raz proszę tego nie robić. Pakować; za półgodziny jadę (*Anusia odchodzi*). Mam sobie do wyrzucenia żem tu kilka chwil straciła z tym bezecnym starcem, a tam mnie czeka mój dobry Alfred. Jakże mu miłość jego wynagrodzę? ofiarą ręki? — przywykłam do wolności i stracić ją? — Człowiek młody, bez majątku, bez imienia. (*Staje przed lustrem poprawiając włosy*). Nie dośćże szczęścia, że go kocham — dziś, jutro — po jutrze kochać będę — (*bierze list ze stolika*) ach! byłabym zapomniała! (*Dzwoni*) Odnieś te pieniądze do szpitala; a pakiet z rzeczami weź od Anusi, i zanieś téj kobiécie, któréj dzieci tu przychodzą. Biedne stworzenia! — Marcin niech zaprzęga (*lokaj odchodzi*).

Anusia (*wynosząc niektóre rzeczy*).

Miała pani jeszcze do sklepów jechać.

P. Adamowa.

Już nie pojadę (*Anusia odchodzi*) — nie, już nie pojadę. Jakiéjże ofiary nie zrobi z siebie kobiéta — dla miłości!

Lokaj (*wchodzi*).

Czy pani każe wyłożyć karetę podwójną?

P. Adamowa.

Alboż zaprzężona?

Lokaj.

Od godziny.

P. Adamowa.

Wyłożyć (*klaszcze*) czekaj — nim się wybiorą —konie gotowe — Hejnrichs mówiła mi, że jéj przyszły nowe materye z Lipska. — Daj mi salopę (*wychodzi*).

SCENA TRZECIA.

(Pokoik Kasi.—Kasia skromnie ale czysto ubrana otwiéra drzwi— słucha — potém wchodzi i zaczyna sprzątać; po chwili siada zamyślona).

Kasia.

Ręce mi opadają; nie mógę nic robić. (*Powstaje*) Przecież trzeba wszystko poskładać, tak jak on lubi; któż wié, może dziś przyjdzie. Sen miałam taki, że mi się koniecznie coś nadzwyczajnego zdarzy. Biédne serce we wszystko wierzy i sen pragnie ująć. Przytém dziś piątek; a piątek dla mnie dzień ważny. W piątek piér-

wszym go raz obaczyła, w piątek piérwszy raz powiedział, że mnie kocha; w piątek z nim poszłam w świat. — (*Słucha*). O! nie mówiłam! — to on. (*Biegnie do lustra*). Oczy jeszcze trochę czerwone; nie chciałabym żeby widział, żem płakała — teraz wyraźnie słyszę — Alfred, to mój Alfred (*biegnie do drzwi i spotyka się z wchodzącym Karolem*) — ha!

Karol (*po chwili*).

Czy mówię z panną Katarzyną?

Kasia.

Tak się nazywam — ale któż pan jesteś?

Karol.

Nie trwoż się moje dziécię! przychodzę od Alfreda.

Kasia.

Jakto? więc on panu o mnie mówił?

Karol.

Jestem jego przyjacielem, jego bratem; myśli, serca i kieszenie nasze są wspólne.

Kasia.

Coś nieszczęśliwego mnie czeka. Gdzież jest Alfred? może chory? może go co spotkało?

Karol.

Piérwéj myślisz o nim, niż o sobie?

Kasia.

O sobie oddawna nie myślę. Jesteś pan przyjacielem Alfreda, musiał ci mówić, że go kocham; dlaczegoż się dziwisz? O! na miłość Boga racz mnie uspokoić?

Karol.

Radbym.

Kasia (*siada*).

Biada mi!

Karol.

Alfred zdrów moja Kasiu — ale......

Kasia.

Zapomniał o mnie. — O! tegom się była powinna spodziéwać. — Tyle dni, tyle godzin, tyle sekund czekałam patrząc czy się nie otworzą te drzwi, które raz ostatni z gniewem zatrzasnął, — ale zdrów przynajmniéj?

Karol.

Alfred wyjechał.

Kasia (*zrywa się*).

Wyjechał? dokąd? — A mnie tu zostawił!

Karol.

Mnie zlecił, abym się tobą opiekował.

Kasia.

Ja nie potrzebuję niczyjéj opieki. Nie, Bóg mi świadkiem, że nie potrzebuję. Ten, czyja

ręka mogła utulić moje sumienie, mogła do snu przymknąć moje oczy; którego serce nademną czuwało, którego miłość była moją opiekunką, ten mię opuścił,— jestem teraz w ręku Boga.

Karol.

Alež bo, moje dziécię, serce twoje wyprzedza zdarzenia. Alfred wróci, interesa go nagle wezwały; i dlatego polecił mi, abym cię uspokoił.

Kasia.

Pociecha z grzecznych słów dla zakrwawionego serca! – O! dziękuję panu. Przez litość na nieprawdę się odważasz. Jakież interesa zatrzymywały go od dwóch tygodni? jakież mogły przeszkodzić, żeby nie przyszedł powiedziéć mi: Bądź zdrowa — jadę — wrócę za miesiąc, za rok, nigdy nie wrócę — ale bądź zdrowa — mnie, która wiedziałam o wszystkich jego trudnościach, którąm znała wszystkie jego kłopoty, która gotowam była cały ich ciężar wziąć na siebie, ugiąć się pod nim do ziemi, byle on prosto i lekko szedł przedemną, i drogę mą wejrzeniem miłości oświecał!

Karol.

Szlachetna dziewczyno! żal mi cię z całego serca. Zawstydzasz mnie, żem mógł miéć myśl......

Kasia.

Krzywdzącą biédną dziewczynę. — O! miałeś pan do tego prawo. Byłam kochanką Alfreda, jego żoną, jego sługą. Teraz jestem tylko kobiétą bez czci i honoru, względem któréj każdy krok może być pozwolonym. — Ale jeżeli masz cokolwiek szlachetności, zostaw mię sobie saméj. — Moje serce potrzebuje pociechy, a téj żadna twarz ludzka dać nie może. Mimowolnie zginają się kolana, potrzebuję się modlić; a modlitwa duszy w rozpaczy nie cierpi świadków.

Karol (*daje jéj piéniądze*).

Alfred kazał ci to oddać.

Kasia.

Coto? pieniądze? — A mnie to na co? — więc mnie odprawia i płaci? Czy tak łatwo zbędzie się i myśli o mnie? Czy tak łatwo wyrzuci z pamięci obraz téj chwili, gdym porzuciła dach ojcowski, gdym śród nocy stanęła przy nim drżąca i blada, gdym się obejrzała jeszcze na dom rodziców i obaczyła światło w oknie i twarz matki, która patrzyła daleko, w niebo, jakby chciała zmierzyć tę przestrzeń, jaką błędna jéj córka przebiedz miała? Boleść taką, tylko jego miłość mogła zapłacić, a téj — już nie mam.

Karol.

Ale może zechcesz wrócić do domu?

Kasia.

Żeby drugi raz rodziców zabić — nie, nigdy. Ja pójdę w świat, daleko — gdziekolwiek sierp zżyna łany, gdzie rydel przewraca ziemię, gdzie ręka pracowita potrzebna, tam znajdę chléb, przytułek— a może i uspokojenie. Może przyjdzie jeszcze jaka wiosna, że strudzona pracą usiądę w cieniu i zanucę piosenkę wspomnienia, a skowronek odpowié mi pod niebem, i ztamtąd pociechę przyniesie.

Karol (*bierze jéj rękę*).

Cudna dziewczyno! Twój Alfred jest występny (*wychodzi*).

Kasia.

Więc to prawda? więc kto inny zajął moje miejsce, a mnie opuścił, odprawił, zapłacił — któżbyto? - ha! wiem, tam się dowiem o wszystkiém (*wychodzi*).

KONIEC AKTU PIÉRWSZEGO.

AKT IIgi.

SCENA PIÉRWSZA.

(Pokój pani Adamowéj na wsi. — Pani Adamowa wpół leży na sofie, Alfred przechadza się zachmurzony).

Lokaj (*wchodzi*).

Powóz przed gankiem; wszystko już upakowane.

Alfred.

Dobrze, dobrze, zaraz idę (*lokaj wychodzi*).

P. Adamowa.

Czegożeś pan taki zachmurzony — jedź już pan, konie gotowe.

Alfred.

Pani chcesz się mnie pozbyć?

P. Adamowa.

Czyż niedosyć skompromitowałam się, że panu pozwoliłam przyjechać? Czy pan myślisz że o tém pułkownikowa się nie dowié?

Alfred (*klęka i bierze jéj rękę*).

Bądźże pani zdrowa.

P. Adamowa.

Bądź pan zdrów, kochany panie Alfredzie!

Alfred (*powstając*).

Zawsze i wiecznie ten *pan*.— Czy i na wyjezdném nie wyproszę od pani choć braterskiego *ty*? — Maryo!

P. Adamowa.

No bądź zdrów drogi Alfredzie. (*Podaje mu obrączkę*) A to kajdany dla zbiega — na pamiątkę.

Alfred.

O! zbieg to bezpieczny, bo jego myśl, jego dusza przy tobie — ale ty?

P. Adamowa.

Ja jeśli opuszczę, to razem z myślą i dla innego — czy to chciałeś powiedzieć?

Alfred.

Gdyby przynajmniéj dla takiego, coby ciebie był godnym.

P. Adamowa.

Tojest, żeby był godnym pana zastąpić. — Także się pan wysoko cenisz, iż myślisz że to niepodobna?

Alfred.

Czy znowu pan? — Maryo!

P. Adamowa (*wstając*).

Zapłata za podejrzenie. Miłość, panie Alfredzie, jestto barwa na axamitnym kwiecie. Patrz i używaj — zdaleka. Gdy go ściśniesz w palcach, zostanie plama — i cały wdzięk przepadnie.

Alfred.

Długoż ten kwiat kwitnąć może?

P. Adamowa (*z uśmiechem*).

Długoż trwają kwiaty?

Alfred.

O! tyś okrutna. — Słuchaj jednak: ktokolwiek zastąpi mnie w twojéj myśli, drogo za to miejsce zapłaci.

P. Adamowa.

Czyż pan nie wiész, że każdy pojedynek podnosi naszę wartość?

Alfred.

Pókiście panie warte pojedynku.

P. Adamowa.

Teraz możesz pan jechać i nie wracać. — (*Chce wyjść*).

Alfred (*biegnie za nią i chwyta jéj rękę*).

O! Maryo, daruj mi! daruj— mnie się w głowie przewraca. Gdybyś ty wiedziała, jakto okropna myśl, że ciebie stracić można.

P. Adamowa.

Czy chcesz abym kazała zawołać kapelana? —przyjdzie i na to pora, jeśli się przekonam, że wierzysz mojemu sercu.

Alfred.

Nie Maryo! ja tylko miłości twojéj pragnę. Cóżby mi ślub pomógł? Każda z was z inszą restrykcyą staje przed ołtarzem; i rzadko która wymawiając to słowo: *na wieki* — rozumié i myśli *na wieki*. Piérwszy coby ci wpadł w oko, wziąłby mi myśl twoję, a przy mnie zostałyby twoje dochody, których nie chcę. Maryo! ty wrócisz do miasta, ja będę daleko. Tyś piękna, uprzejma i dobra; twój uśmiéch ośmiela, twoje spojrzenie może potargać węzły pokrewieństwa, przysięgi przyjaźni. (*Klęka*) Aniele moj! nie jedź; zostań póki nie wrócę. Nie obraziłem cię żadną zaśmiałą prośbą, żadném

żądaniem — i za powrotem będę równie bojaźliwym — ale nie jedź: o to jedno cię błagam.

P. Adamowa.

Wstań Alfredzie! i posłuchaj co ci powiem. Pewny ubogi żądał pomocy. Dobroczynny człowiek dał mu z rozrzewnieniem co mu się zdawało dostateczném. Ubogi żądał więcéj. Znikło rozrzewnienie, zmarszczył się dobroczyńca, ale dał jeszcze. Ubogi zażądał, aby mu oddał wszystko; działo się to śród lasu — mamże skończyć? wstydź się Alfredzie. Porzuć ten ton traiczny, którego nie lubię. Ja wolę serdeczne ręki uściśnienie, niż długą perorę. Pokochałam cię, i mówię ci to.—Chceszże więcéj?

Alfred.

Jedź więc, jedź.

P. Adamowa.

Pozwalasz? Nie, nie pojadę. Nie dlatego żeś żądał, ale że tak chcę sama. Tu cię czekać będę. Jeżeli możesz mię kochać taką, jaką jestem — powracaj — a wtenczas obaczę, czyś wart mojéj wiary — na zawsze.

Alfred.

Daruj mi Maryo! nie wiem co mi się stało. Chciałem ci jeszcze coś powiedzieć, ale się lę-

kam, aby dzikie tony mojéj myśli nie obraziły znowu twego serca. Z rozstrojonego instrumentu trudno wycisnąć akord miły i wdzięczny. Najbieglejsza ręka wydobędzie tylko krzyk przeraźliwy (*wybiega i w téj chwili słychać turkot powozu*).

P. Adamowa.

Uciekł — dziwny! — Owszem zwyczajny mężczyzna; zawsze ta sama piosnka—zawsze im mało. Jak dzieci, póty dmuchają na świécę, aby ją rozżarzyć, póki nie zgaszą, a potém płaczą, że ciemno. Zanudzę się tu na wsi — ale będzie miał dowód. A gdy i wtenczas nie uwierzy — doprawdy może mi się to sprzykrzyć. (*Anusia wchodzi*) Czego chcesz?

Anusia.

Sprzątając stancyą pana Alfreda, znalazłam za szufladką zasunięte te listy. Może mu będą potrzebne.

P. Adamowa.

Dawaj — i niech Michaś konia osiodła — prędko (*Anusia wychodzi*). (*Przegląda*) „Kochany synu" — list od matki (*składa na bok, i bierze drugi*) „Alfredzie! Spóźniasz się, słońce zeszło." (*przebiega cicho cały list i drze w kawałki*) Głupi! takie listy chować. (*Patrzy daléj*) „Za robotę fraka — i sukienki." — I sukienki — niéma daty, muszą być dawniej-

sze grzechy. — (*Odrzuca i bierze następny*) „Kochany Alfredzie!” czyja to ręka? — podoba mi się ten charakter. — A! to pan Karol (*przebiega kilka wiérszów potém rzuca inne listy i powstaje*). Coto jest? A! tegom się nie spodziéwała. — (*Czyta*) „Kochany Alfredzie! według twego życzenia byłem u twojéj Kasi.” — Pięknie; więc jest i Kasia — „cudna, cudna dziewczyna. Dawnom nie był tak wzruszony. Co za wdzięk, co za głos, co za dusza! wierz mi! głupstwoś zrobił.” — Coraz piękniéj — „miałbym wielką ochotę korzystać z twojéj nieobecności, ale ta dziwna istota, w mniemaném poniżeniu swojém, okrywa się płaszczem świętości, którego tknąć nie śmiem. — Cóż ty? Ale na cóż pytam? Gdzie miłość, tam raj.” O niegodziwy! wydać mnie, chwalić się, zwierzać? — Ale cóż daléj? „Cóż twoja pani? czy wraca? prędko wraca? Śmiałem się w duchu z twojéj obawy. Bądź spokojny kochany Alfredzie! powtarzam ci raz jeszcze com mówił, że to ostatnia kobiéta, coby mnie ujęła.” — Ha! to obaczymy. (*Chowa list i dzwoni gwałtownie*).

Anusia.

Michaś gotów.

P. Adamowa.

Już nie potrzeba. Zbierz te szpargały i schowaj. Pakować mi rzeczy. (*Dzwoni, lokaj wchodzi*) Niech Marcin ma konie gotowe.

Lokaj.

Czy pani na spacer pojedzie?

P. Adamowa.

Do miasta (*wychodzi*).

Anusia.

Chwała Bogu! takem odwykła ode wsi — (*wychodzi*).

SCENA DRUGA.

(*Pokój hrabiego*).

Hrabia (*wchodzi z papierami, za nim kommissarz*).

Z tego wszystkiego widzę mój panie! że gospodarstwo moje idzie nieszczęśliwie. Na pensye summy wielkie, na podatki wielkie, na nakłady gruntowe wielkie; a dla mnie ledwie sto tysięcy.

Kommissarz.

JW. Pan niech raczy uważać.....

Hrabia.

Że asan potrzebujesz kocza; że kluczowi rządcy potrzebują przynajmniéj żółtéj bryczki na résorach; że panie ekonomowe muszą miéć czépki tiulowe z czerwonemi wstążkami; że

gracyaliści coraz czerstwiéj wyglądają i nieśmiertelnością mi grożą — ja to wszystko uważam i zapowiadam, że to musi pójść inaczéj. Pókim był sam, potrzebowałem mniéj. Położenie moje może się zmienić; i proszę asana, jeżeli życzysz sobie daléj moim majątkiem zarządzać, żebym miał procent donośniejszy. Mam przeszło trzy miliony kapitału w ziemi, cóżto za procent sto tysięcy.

Kommissarz.

Sądzę, że JW. Pan nie zechce mię posądzać.....

Hrabia.

Owszem, posądzam was o niedbałość. Starajcie się a będzie i dla was i dla mnie — ale dość na tém. Wieleś mi tu wasan przyniósł?

Kommissarz.

Tysiąc dukatów JW. Panie.

Hrabia.

Wieleż masz w kassie gotowizny?

Kommissarz.

Z przeszłorocznych trzydzieści tysięcy, tegorocznych ośmdziesiąt.

Hrabia.

Uważajże asan (*siada*) usiądź sobie (*kommissarz siada na połowie krzesełka i prosto się trzyma*). Oficynę w Ja-

rosławku każesz wyporządzić dla mnie. Sam przenieś się z swoją kancelaryą do Zbicza. Wszystkie meble z pałacu przenieść do oficyny, zostawiwszy obrazy i żyrandole. *(Daje mu niektóre papiery)* Masz tu wasan poszczególnione wszystko czego żądam. Tapicerowi, który ma ubrać pokój sypialny, gabinet, dostarczysz wszystkiego, czego potrzebować będzie. Powozy i konie, które wkrótce przyjdą, proszę oddać pod dozór najlepszych ludzi. Cały dom opatrzyć we wszystko, i liberyą postawić na takiéj stopie, aby odpowiedała mojéj chęci i możności. Regestra expensy i postęp roboty przysyłać mi tu umyślnym co cztéry dni. Jeżeli znajdę moment, przybiegnę dla obejrzenia.

Kommissarz.

Pozwoli JW. Pan zapytać, jak prędko będziemy mieli szczęście powitać JW. Panią?

Hrabia.

Ten pakiet wyślesz wasan kozakiem pewnym do konsystorza. Odpowiedź niech mi przywiezie prosto tu.

Kommissarz.

Możemyż miéć szczęście wiedziéć, która z pań będzie szczęśliwą.....

Hrabia.

Szczęśliwą? mówisz asan. Będzie bogatą, będzie mogła pozwolić sobie wszelkich uciech, wszelkich wydatków; ale czy będzie szczęśliwą, nie wiem. — Jestem stary, i patrz, widziałeś gdzie podobną postać, oprócz tam (*pokazuje w zwierciadle*). Gdym raz niespodzianie zszedł żonę wasana zajętą jakąś robotą, spojrzała na mnie i krzyknęła z przestrachu. — Pamiętam to.

Kommissarz (*powstaje zaambarasowany*).

JW. Pan raczy darować.

Hrabia.

Miała racyą, znam siebie i nie gniéwam się; chociaż mam za złe naturze, że plecy moje okulbaczyła; że mi dała wązkie czoło, podłużgowatą głowę, długie i kościste ręce, jak gdyby zapomniała okryć je ciałem, włożywszy więcéj niż trzeba było na szyję. Wszakże i my garbaci mamy także swoje korzyści: jednym natura odpłaca rozumem, mnie tém, że mnie włożyła w żywot matki, która miała miliony. Jeżeli więc moje miliony potrafią uszczęśliwić tę, którą wybiorę, będzie szczęśliwą (*powstaje*) ale dosyć.

Lokaj (*wchodzi*).

Pan Karol Łążski.

Hrabia.

Proś (*lokaj odchodzi*).

Kommissarz.

Więcéj mi nic JW. Pan nie ma do rozkazania?

Karol (*wchodzi*).

Dobry dzień panie hrabio!

Hrabia.

Dobry dzień Karolu — siadaj proszę.

Karol.

Interesa.

Hrabia.

Niewielkie. — Wyspowiadałem trochę tego grzesznika. — A jak mi się prędko sprawisz i dobrze, dam absolucyą. — Notabene! Do sprawunków kobiécych, proszę wezwać rady żony, a jeżeli się jéj co podoba, proszę ofiarować w mojém imieniu na pamiątkę straszydła, przed którém raz uciekła.

Kommissarz.

JW. Pan nie uwierzy jak mnie to boli....

Hrabia.

No! no! zapomnij asan o tém— i bądź zdrów. (*Kommissarz odchodzi*). O czémże się tak zamyślasz? czy się kochasz?

Karol.

Ja? — radbym; bo tak życie niesmaczne.

Hrabia.

Nie widziałeś swojéj pupilki? Czy zawsze we łzach!

Karol.

Byłem parę razy; ale widok jéj zbyt głęboko mnie wzrusza i dlatego te odwiedziny wcale mi niemiłe. Ja lubię patrzéć na twarz życia, kiedy się śmieje, choćby to był uśmiéch szyderski. Ale kiedy mi pokazuje lice surowe, czoło seryo, usta milczące, odwracam się — bo wszystko co mnie otacza, niewarte głębokiego i prawdziwego wzruszenia.

Hrabia.

Jest w tém cokolwiek filozofii, chociaż fałszywéj. Jestto chciéć ciągle po trochu się upijać, aby być zawsze przyjemnie odurzonym. A jak cię zaskoczy chwila trzeźwa?

Karol.

Zapomniałeś hrabio, żem był żołniérzem, i żem na każdą chwilę przygotowany. Nieraz na placówce z nudów marzyłem. Blizkie niebezpieczeństwo, cień nocy zapalał imaginacyą. Przenosiłem się myślą w rodzinne strony, błąkałem się wiosną po rodzinnym lesie, słysza-

łem znajomy śpiéw ptaków; i w téjże chwili zamiast słowika, kula świsnęła mi koło ucha. Jednak i to mnie nie zadziwiało.

Hrabia.

Pamiętajże, abyś się nie zadziwił, gdy się zakochasz; bo jesteś coś w poetycznym humorze. A to roztwiéra wszystkie pory, jak ciepła kąpiel. – Ale wracając do pupilki — warto abyś jéj łzy otarł.

Karol.

Jak ją obaczysz hrabio! nie pomyślisz o tém.

Hrabia.

Więc wiész, że tu przyjdzie?

Karol.

Wiém. Położenie jéj tak bolesne, opuszczona od tego, którego kochała, znajdując w mojém wejrzeniu, w mojém postępowaniu szacunek dla siebie, uszanowanie dla swego cierpienia, obdarzyła mnie ufnością i prosiła o robotę. Wskazałem jéj twoje mieszkanie hrabio! i dziękuję ci, żeś bez żadnéj potrzeby wymyślił zatrudnienie dla dumnéj biédy, która innego nie przyjmuje dobrodziejstwa. — Ale wybacz, musiałem cię przytém dobrze opisać.

Hrabia (*śmiejąc się*).

Przyczyniłeś mi zapewne lat i garbu?

Karol.

Prócz tego zapewniłem, żeś człowiek poważny i surowy.

Hrabia.

A, więc przyczyniłeś mi i obyczajów?

Karol.

Czym zmyślał?

Hrabia.

Mam lat pięćdziesiąt pięć.

Karol.

Są jednak dawniejsze grzechy.

Hrabia.

Strata półtora miliona — to największy.

Karol.

Drogoś płacił.

Hrabia.

Spojrzyj na mnie.

Karol.

Nie mogło być inaczéj.

Hrabia.

Dziękuję za komplement. Jednak topografia mojéj osoby była podobno niepotrzebna. Cóż ci odpowiedziała, gdyś jéj wspomniał moje imię?

Karol.

Zastanowiła się; zaczęła mocno płakać, a że ja łez nie lubię, wyszedłem.

Hrabia.

Otoż ja ci dopowiem. Posłałem jéj bieliznę przez mojego kamerdynera, który ją poznał. Jestto córeczka mojego ekonoma, dobrego człowieka, ale który Kochanowskich i zbiór Sielanek Gröla częściéj ma w ręku niż harapnik, i na błoniach poezyi i córkę wychował. — Chciałem go odprawić, ale biédak dość ukarany; nie chcę być surowszym od Opatrzności.

Karol.

Tém większy obowiązek masz panie hrabio, być jéj opiekunem. Bardzo będę rad, jeśli ci się podoba. Jest nieszczęśliwa, i warta litości szlachetnego serca, które wié, że delikatność daje największą cenę dobrodziejstwu.

Hrabia.

Czy piękna?

Karol.

Bardzo. Ale dlaczegoż to pytanie? Miałżebyś zamiar?

Hrabia.

Zamiar, mój przyjacielu, jestto ziarnko, które potrzebuje być zakryte, aby spęczniało, pękło,

i wypuściło z siebie listek, żdźbło i owoc. — Gdy jest na wiérzchu, lada wiatr może je zdmuchnąć, lada wróbel schwycić.

Lokaj (*wchodzi i oddaje bilet Karolowi*).

Pański służący przyniósł.

Karol (*przeczytawszy*).

Niech powié, że dobrze — (*lokaj odchodzi*). Od pani Adamowéj.

Hrabia.

Cóż?

Karol.

Grzeczne zaproszenie na obiad

Hrabia.

Więc przyjechała? Cóż sądzisz o téj kobiécie?

Karol.

Że się prędko zestarzeje.

Hrabia.

A to czemu?

Karol.

Bo prędko żyje.

Hrabia.

Wiészże co ja o niéj myślę?

Karol.

Naprzykład?

Hrabia.

Żeby poszła — nawet za mnie.

Karol.

A to czemu?

Hrabia.

To mój sekret. — Gdzież Alfred?

Karol.

Dlaczegoż ci hrabio Alfred przyszedł na myśl?

Hrabia.

Dajmy temu pokój — to coś zakrawa na komeraże *(Karol odczytuje bilet)*. Jednakże ten bilecik cię zainteresował.

Karol.

Bynajmniéj. Znamy się oddawna, i niejeden obiad u niéj zjadłem. A potém, to kobiéta nie dla mnie. Mam cokolwiek doświadczenia.

Hrabia.

Biegły wódz, mój Karolu, samym nierozsądkiem przeciwnika, daje się czasem oszukać, gdy mylne jego kroki, bierze za umyślną i podstępną sztukę.

Karol.

A potém, jeżeli o uczuciu mówić mamy, nie przeczę, pragnąłbym go doznać. Bo mężczyzna

który nic nie czuje, tu, jestto dąb bez liści, na którym tylko wrony siadają. W usposobieniu, w jakiém się teraz znajduję, możeby serce jakie nowe, czyste, pełne, zdołało obudzić we mnie dawne, zastygłe brzmienia. Ale na to potrzeba, aby piérwéj była cześć, potémby się znalazła miłość; aby była wiara, że to, co usta kobiéty mówią, co oczy malują, serce jéj czuje. A oczy kokietek równie kłamią, jak ich usta. Ogién, którym błyskają, podobny do iskier elektrycznych, które wydobyć można z zimnego metalu.

Hrabia.

Pięknie mówisz — winszuję ci. — Dokądże teraz?

Karol.

Idę przebrać się, a potém — na obiad— *(ściska jego rękę i wychodzi).*

Hrabia *(sam — przechadza się przez chwilę — potém siada).*

Rzecz więc zdecydowana, że się ożenię. Podobny jestem do żeglarza, który długo krążył koło brzegu i nie przybił póki było widno. Nareszcie o dobrym zmierzchu przybija — naoślep. Nie mogło być inaczéj. Starość samotna, jestto rzecz okropna. Kilka chwil, które mi zostają, chciałbym jeszcze przebyć wesoło.

A wesołość dla starca jestto zajęcie głowy, natężenie myśli, przyspieszenie krzepnących pulsów. Rzucać złoto na kartę już mnie nie bawi — wygrywam. Inszym sposobem trzeba drażnić, zbudzić tę myśl, która stygnie, gaśnie, umiéra. Staranie, aby przyjemném uczynić życie téj, która zapełni mój dom pusty i milczący, orzeźwi mnie. Zechce mnie zapewne oszukiwać? Będę więc czuwał, i jak nowy pierwiastek życia powitam w piersi mojéj: zazdrość. Jeśli mi się to uda, przebaczę matce naturze, która mnie tak ubrała, i matce kobiécie, która mi to piérwsza dała poznać.

Lokaj (*wchodzi*).

Panna Katarzyna.

Hrabia.

Niech przyjdzie. (*Kasia wchodzi nieśmiało.— Hrabia długo się jéj przypatruje*) Dajesz na siebie czekać moja panno?

Kasia.

Nie śmiałam. Racz JW. Pan darować.

Hrabia.

Oddał ci mój kamerdyner bieliznę?

Kasia.

Będę się starała, aby była dobrze zrobioną.

Hrabia.

Dotąd podobno niebardzoś się zajmowała pracą.

Kasia.

Nie próżnowałam nigdy.

Hrabia.

Ale więcéj podobno zajęte było twoje serce, niż ręka.

Kasia.

I to moje nieszczęście.

Hrabia.

Czy tylko twoje?

Kasia.

Bóg miłosierny, i łzy rodziców nie spadną na żałującą.

Hrabia.

Przez wzgląd na twoich rodziców, chciałbym ci co dobrego zrobić i dlategom cię wezwał.

Kasia.

Mam robotę z łaski JW. Pana.

Hrabia.

I więcéj nie pragniesz?

Kasia.

Wkrótce zapewne nie będę potrzebować. Wreszcie znajdę służbę i obowiązek mię wyżywi, a łaska pani odzieje.

Hrabia.

Ale służba jestto rzecz ciężka, przykra. Będziesz musiała wiele znosić, płakać ci nawet za dawnemi wspomnieniami nie pozwolą.

Kasia.

Przewinienie było wielkie, pokuta powinna być takąż.

Hrabia (*wzruszony po chwili*).

Czy ci moja postać taki wstręt robi, że nie śmiész oczu podnieść? Czemu tak w ziemię patrzysz?

Kasia.

Tam pogrzebałam moje nadzieje.

Hrabia.

Jesteś młoda i ładna; nadzieje twoje mogą odżyć i jak kwiaty na wiosnę odkwitnąć.

Kasia.

Na toby mi potrzeba drugi raz się urodzić.

Hrabia.

Widać, że nie masz doświadczenia. Jak myślałaś, że miłość będzie wieczna, tak teraz my-

ślisz, że żal będzie wieczny. Nic niéma, coby trwało tak długo, jak życie.

Kasia.

Wstyd dziewczyny zhańbionéj.

Hrabia.

Są rzeczy, któremi go można okryć. Pod brylantami świat i ludzie go nie widzą.

Kasia.

Łza żalu spadnie między brylanty, i przypomni się sercu, które się zechce odurzać.

Hrabia.

Słuchaj dziewczyno! chcę być powolnym natchnieniu téj chwili, i wiele dla ciebie zrobić mogę. Miałem zawsze dostatek, bogactwo, przepych; mogłem dogodzić rozumowi, nasycić imaginacyą, zaspokoić ciało, a jednak śród złota i axamitów, wśród płonących lamp i roziskrzonych luster, deptałem nieraz z rozpaczą kosztowne kobierce, rzucałem się płacząc na sofy jedwabiem zasłane. Tu była pustka, bo nikt nie zajmował tego serca, bo nie śmiałem żadnéj szlachetnéj i dobréj kobiécie podać téj chudéj i kościstéj ręki. Za piéniądze mogłem wiele kupić; ale przychylnego, dobrego serca dotąd nie znalazłem. Pojmujeszże ty wiek tak

przebyty? zbliżającą się starość i niedołęztwo? pojmujeszże to opuszczenie, gdy nie będzie koło mnie żadnego oka, coby czuwało na moje skinienia; gdy język spalony, nie będzie mógł dać rozkazu, a dalecy krewni, zamiast podać mi kroplę wody, będą przeglądać moje kosztowności, i w myśli rozdzielać je między siebie? W pałacu moim jest wszystko, co może zabawić oko, dostarczyć każdemu zachceniu pożywienia, uprzedzić myśl wytężoną na to, czémby sobie dogodzić. Tambyś mogła wiele zapomniéć. Słuchaj moje dziécię! jesteś piękna i dobra. Widziéć cię codzień, słyszéć twój głos, złożyć na twojém czole pocałowanie przychylności, byłoby dla starca samotnego szczęściem, jakiego doznaje chory z przyjściem lata, gdy siądzie na słońcu i patrzy na zieloność. Chceszże?

Kasia.

Nie rozumiem cię JW. Panie.

Hrabia.

A przecież zrozumiałaś Alfreda, gdy ci powiedział: chodź ze mną.

Kasia.

Bo dodał: kocham cię.

Hrabia.

A gdybym i ja dodał: podobałaś mi się, kocham cię.

Kasia.

Jego słowo serce moje usłyszało.

Hrabia.

A mojego nie słyszy — zapewne, nie dziw; ale czy myślisz, żebym chciał zadawać gwałt twojemu sercu? żebym żądał od ciebie miłości? w dwudziestym czwartym roku życia przekonałem się, że to niepodobna, a cóż teraz! Ja chcę na ciebie patrzéć i wiedziéć, że twoja przychylna ręka nademną czuwa. Cały dom mój będzie posłuszny skinieniu twéj woli, każde słówko, każde wejrzenie w którémbyś nie widziała dla siebie uszanowania, surowo ukarzę. Przyjmujeszże?

Kasia.

Nie.

Hrabia.

Czy tu czujesz wstręt, czy widzisz hańbę?

Kasia.

Hańbę.

Hrabia (*żywiéj*).

A gdybym ci ofiarował moję rękę? gdybyś miała sposobność serce rodziców napełnić

radością; stare lata ich ozdobić dostatkiem i szczęściem?

Kasia.

Musiałabym — odrzucić.

Hrabia.

Dziewczyno! pomyśl. Jestem potwornym, ale moje imię znakomite, mój stan postawiłby cię między piérwszemi kobiétami. Jestem stary; tém mniéjbym od ciebie wymagał; tém prędzéj zostałabyś moją dziedziczką; tém pewniéj mogłabyś drugą połowę życia przebyć w swobodzie i szczęściu. Oto ręka moja — przyjmujesz?

Kasia.

Kobiéta, która się oddaje bez serca – przedaje się.

Hrabia.

Więc niczego odemnie nie żądasz?

Kasia.

Część tych łask, któreś chciał zlać na mnie, zléj na moich rodziców.

Hrabia.

Więcéj żadnego nie przyjmujesz dobrodziejstwa?

Kasia.

Prócz pracy — żadnego.

Hrabia.

Podaj mi rękę — szacuję cię.

Kasia.

To dobrodziejstwo przyjmuję i przy nogach twoich dzięki ci za nie składam.

Hrabia (*podnosząc ją*).

Bądź zdrowa; od rodziców będziesz miała wiadomość (*Kasia wychodzi*). (*Hrabia sam*) Dawnom nie był tak wzruszonym. — O szczęśliwa młodości! ty masz łzy i nadzieje — (*wychodzi*).

SCENA TRZECIA.

(*Salon pani Adamowéj, jak w akcie piérwszym*).

P. Adamowa (*na nizkim fotelu wpół leżąca z książką w ręku*).

Sama nie wiém co czytam. (*Patrzy na zégarek*) Już trzecia — nie przychodzi — to jednak niegrzecznie. Przecież to dziecińistwo z mojéj strony tak o tém myśléć, jak gdyby mnie seryo zajmował. Serce jego wolne, starałam się o tém dowiedziéć. A choćby i zajęte było! im trudniejsze zwycięztwo, tém piękniejszy tryumf.

Lokaj (*otwiérając drzwi*).

Pani prosi.

Karol (*wchodzi*).

P. Adamowa (*nie zmieniając położenia, wyciąga ku niemu rękę*).

Dziękuję ci panie Karolu! żeś nie odmówił pustelnicy.

Karol.

Mogłażeś pani wątpić, abym nie spełnił tak miłego mi rozkazu?

P. Adamowa.

Od niejakiego czasu dziwna jakaś napastuje mię mizantropia, i wątpię o życzliwości ludzkiéj.

Karol.

Ten wyraz w ustach pani! takie uczucie w jéj sercu!

P. Adamowa.

Czy dziwne?

Karol.

Zwykle téj chorobie ulegają mężczyzni w podeszłym wieku, ułomni, słabi. Ale kobiéta w sile powabów, pełna dobroci, która zjednywa, mogłażby wątpić o życzliwości ludzkiéj!

P. Adamowa.

Dobry panie Karolu! dodajesz mi odwagi. Jednak mam powody tak mniemać. Być to może także skutek stanu mego zdrowia. Od niejakiego czasu tak jestem słaba, tak rozdrażniona, że gdybym się z sobą nie mocowała, płakałabym po kilka razy na dzień.

Karol.

Przejażdżka musiała pani cokolwiek ulżyć?

P. Adamowa.

Ach! nie. Pojechałam dla interesów — to nasze gospodarstwo tak przykre! chorzy mnie opadli, skargami mnie obrzucono. Różne przytém trudności, w których nie umiałam się znaleźć. O! nie uwierzysz pan, jak źle na świecie nam biédnym kobiétom — a zwłaszcza kobiétom słabym, których serce drży jak listek od lada powiewu.

Karol.

Nie maszże pani nikogo, coby się zajął interesami pani?

P. Adamowa.

Oszukują mnie, zwodzą, ja się na tém nie znam; a gdy się nazbiéra kłopotów, wszystkie walą na moję głowę. — Ale nietylko to kom-

missarze tak robią. Tak wy wszyscy, moi panowie z nami postępujecie i w innych rzeczach, (*wzdycha i kładzie rękę na piersiach*) które bliższe naszego serca.

Karol.

Z tą różnicą, że się panie na tém znacie.

P. Adamowa.

To być może; jednakże niezawsze możemy się ustrzedz. Jest niekiedy nić tajemna, która wiąże dwie myśli z sobą; choć delikatna, długa, niedostrzeżona. Nie można sobie zdać sprawy z téj jakiéjś dziwnéj znajomości, która zdaje się odwieczną zażyłością. Gdy czasem serce tego natchnienia usłucha -- i zawiedzie się; gdy tę nić przedwieczną przyjdzie gwałtownie zerwać!... Pojmujeszże panie Karolu! jakito musi być ból w całéj istocie, w całéj téj wielkiéj budowie naszéj, którą tak łatwo zranić. — Ale nudzę pana.—O! daruj. — Jak dawnośmy się nie widzieli?

Karol.

Dwa miesiące nie wychodziłem z pokoju.

P. Adamowa (*z politowaniem*).

Znać na panu chorobę.

Karol.

Może więcéj nudy, bo to było prawdziwe więzienie.

P. Adamowa.

Ach mój Boże! czyż wy się nudzicie kiedykolwiek! — koledzy, karty — więcéj wam, moi panowie, nie trzeba. I w tém macie wyższość nad nami. Nasze cierpienia większe i odwiedziny nudniejsze. — O! nie wiém cobym za to dała, abym była mężczyzną.

Karol.

Przeciw temu życzeniu pani, protestuję się.

P. Adamowa.

Także mi pan źle życzysz?

Karol.

Chyba pod jednym warunkiem.

P. Adamowa.

Pod jakimże? naprzykład.

Karol.

Gdybym ja był kobiétą, zdolną podobać się.

P. Adamowa.

Dobry panie Karolu! mogęż cię prosić....

Karol (*przysuwa się*).

Co pani każe?

P. Adamowa.

Chciéj pan zadzwonić. *(Karol idzie do dzwonka)* Przepraszam, tak jestem ociężała. *(Lokaj wchodzi)* Tu przynieście stolik i dawać. — Trzeba mieć taką ufność w dobroci twojéj, panie Karolu, jaką ja miałam, żeby cię zapraszać na takie nudy. — Zaledwiem przyjechała; nigdziem jeszcze nie była — i tak się czuję niezdrową! muszę mieć gorączkę *(podaje mu rękę)*.

Karol

(bierze jéj rękę w swoje obie. — Ona kładzie drugą na jego ręce).

P. Adamowa.

I dłonie jak palą. — Nieprawdaż? — ale służę panu *(przynoszą obiad)*.

(Karol podaje jéj rękę. P. Adamowa podnosi się zwolna — siadają. — Lokaje podawszy piérwszą potrawę, oddalają się).

Karol.

Kto jest pani doktorem?

P. Adamowa.

Cierpliwość.

Karol.

Nie na wszystkie on choroby pomaga.

P. Adamowa.

Ale przynajmniéj podwaja zasługę cierpienia. Zwłaszcza, gdy nietylko ciało cierpi.

Karol.

Czyżbyś pani doprawdy i takich cierpień doznawała?

P. Adamowa.

Patrzysz pan na mnie okiem, w którém, zdaje mi się widzieć wyraz ludzkości. Podzielałżebyś je, gdybyś wiedział?.....

Karol.

Nie śmiém się domyślać ich źródła. Nie dziwiłbym się, gdyby to cierpienie pani pochodziło ze zbytku ufności, która zdradzoną została; i dlatego nie żądam, żebyś mię pani zawcześnie nią obdarzała. Ale znasz mię pani oddawna, i wiész, że umiém cierpiéć z cierpiącemi.

P. Adamowa (*podaje mu rękę*).

Dobry panie Karolu! Życie kobiéty jest jak robota kanwowa. Zewnątrz kwiaty żywe, pociągające oko; kto na nią patrzy, nie przychodzi mu na myśl, ile się tam nitek splątało, ile się zerwało włókien. Nasz uśmiéch, nasza płochość, nasz strój lekki i powiewny pokrywa nieraz stargany pokój i pasmo nadziei tak zerwane, że już go związać niepodobna; (*zakrywa sobie oczy — po chwili*) — ale pan nie jész.

Karol.

Jadłem.

P. Adamowa (*schylając oczy*).

Są zapewne uprzywilejowane istoty, których dni przechodzą w jednostajnéj ciszy. Wsparte na ręku czułego męża, z każdém otwarciem oczu witane słodkim uśmiéchem dzieci, idą bezpiecznie ścieszką powinności, i nie spotykają żadnego ciernia, coby im skaléczył nogę; nie widzą żadnéj chmury, coby im zasłaniała horyzont i cel ich drogi zamknęła. Szczęśliwa to, rozkoszna, łatwa cnota. Niéma w niéj zasługi, nie powinno téż być i dumy, ale tylko pokora dziękczynienia. A inne... (*miarkując się, podnosi głowę*). Ale przepraszam pana. Wpadłam na jakiś ton dziwny. Dawniéj mówiłam panu o mizantropii; a to coś widzę do melancholii podobne. Musi to być także skutek mojego osłabienia (*Karol patrzy na nią z zajęciem i nic nie odpowiada*) — a jeszcze ból głowy tak silny! mówią, że w dłoni litościwéj i przyjaznéj jest coś magnetycznego, co go uśmiérza (*kładzie sobie rękę na czole*).

Karol (*podnosząc się*).

Jeśli pani pozwoli. (*Kładzie rękę na jéj czole*) Czy lżéj?

P. Adamowa.

Dziękuję panu — niedobrze mi, doprawdy. Nie wiém nawet, czy będę mogła dotrzymać panu kompanii. — Wybaczyszże mi......

Karol.

O Boże! możeszże pani wątpić— może pani przejdzie do swego pokoju?

P. Adamowa.

Jeżeli pozwolisz. (*Powstaje*) Ach! pomóż mi pan, dobry panie Karolu! (*opiéra się na jego ramieniu, on ją utrzymuje, i doprowadza do drzwi*).

Karol.

Czy pani pozwoli mi dowiedziéć się o swojém zdrowiu?

P. Adamowa.

Jeśli pan będziesz miał tyle miłosierdzia — bardzo proszę (*podaje mu rękę, którą on całuje i zamyka drzwi*).

Karol (*stoi przez chwilę zamyślony — lokaj wchodzi*).

Lokaj.

Czy pan nie siada?

Karol.

A, idź sobie z Bogiem (*porywa się i wychodzi*).

Lokaj (*z domyślnością*).

E, pokłócili się! (*Bierze talerze i biorąc z nich palcami, jé i wychodzi*).

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III[ci].

SCENA PIÉRWSZA.

(Pokój gotowalni pani Adamowéj).

P. Adamowa (*stojąc we drzwiach*).

Zapalać światło i proszę bardzo, aby mi usługa szła jak należy, bez żadnego przypominania. Nie będzie tak bardzo wiele osób, abyście nie mogli pamiętać o wszystkich. Ale wy najpiérwéj pamiętacie o sobie.

Anusia.

Niech już pani będzie łaskawa siada, bo to nie wiedziéć kiedy się nie skończy.

P. Adamowa.

Nie gniéwaj się moja Anusiu! ostatni to może wieczór, który tu daję; chciałabym żeby wszystko było porządnie.

Anusia.

Wszystko będzie porządnie, tylko pani będziesz nieporządnie ubrana, tak się pani ciągle odrywa.

P. Adamowa.

Jużem gotowa.

Anusia.

A na głowie?

P. Adamowa.

A prawda, na głowie — ach! w głowie gorzéj — ale już siadam; (*ubiéra głowę*) tylko nie nudź moja Anusiu! (*Obraca się*) Podaj mi, proszę, ten bilecik.

Anusia.

Otoż macie! — Niech pani pozwoli sobie powiedzieć, żeś go pani już z dziesięć razy czytała.

P. Adamowa.

Wiészże ty, od kogo?

Anusia.

Dziś dopiéro dwa razy dowiadywał się o zdrowie, ten, co go pisał.

P. Adamowa.

Jakaś domyślna!

Anusia.

Czy pani każe różę, czy ten granat ponsowy i widny?

P. Adamowa.

Jak myślisz?

Anusia.

Ja myślę, że granat będzie stosowniejszy.

P. Adamowa.

Dlaczegożto, moja mądra?

Anusia.

Bo do krwi podobny.

P. Adamowa.

Zkądże ci znów krew do głowy przyszła?

Anusia.

A cóż? pan Alfred wkrótce przyjedzie.

P. Adamowa.

Głupia!

Lokaj (*wchodzi*).

Pani generałowa przeprasza, że nie może dziś służyć, bo słaba.

P. Adamowa (*na stronie*).

Mniejsza o to, jedna komerażnica mniéj — czy jest człowiek?

Lokaj.

Czeka.

P. Adamowa.

Powiédz, że ją serdecznie pozdrawiam i bardzo żałuję. (*Lokaj wychodzi*).

Karol (*otwiérając zwolna drzwi*).

Czy wolno? (*Wchodzi*) Dobry wieczór pani.

P. Adamowa.

Czy nie późno już?

Karol.

Broń Boże! dopiéro wpół do ósméj.

P. Adamowa.

Siadaj panie Karolu!

Anusia.

Jeżeli pani będzie czego potrzebować, niech pani będzie łaskawa zadzwoni. Bo ja mam jeszcze mnóstwo roboty. (*Odchodzi. Karol z boku dziękuje odchodzącéj. P. Adamowa siada na nizkim stołeczku, Karol klęka*).

Karol.

Pani! droga, dobra pani! czy prośba moja trafiła do twego serca?

P. Adamowa.

O cóż idzie?

Karol.

Czyż pani nie czytałaś mego biletu?

P. Adamowa.

Nie.

Karol (*zrywa się*).

To być nie może.

P. Adamowa (*podpiéra się obydwoma rękami i patrzy mu w oczy*).

A jeślim czytała i nie zrozumiała?

Karol.

Maryo! godziż się tak mię dręczyć? tyle dni, tyle tygodni wodzić mnie na czarownéj nitce, któréj uchwycić, ani zerwać nie mogę? Raz mi się zdaje, że w twoich oczach jest wyraz czułości, jest odbicie tego ognia, któryś we mnie zapalić umiała; znowu połyskują one jakimś dziwnym blaskiem, podobnym do tych iskier, które błyszczą na śniegu.

P Adamowa.

Czy chcesz mię pan przyprowadzić do płaczu?

Karol.

O! wierz mi pani, chciałbym być łez twych przyczyną. Bo kobiéta wtenczas dopiéro zaczyna kochać, gdy zaczyna płakać.

P. Adamowa.

Przynajmniéj nie żądaj pan tego dowodu przed balem......

Karol.

Pani mówisz o łzach! a uśmiéch szyderski w twoich oczach. Pamiętasz pani ten obiad przerwany, kiedym przyszedł do ciebie w tém przekonaniu, że jeszcze myśl, że serce twoje należy do niego? Przyszedłem bezbronny, zaatakowałaś mnie niespodzianie. Cierpienie było w twoich oczach, smutek był w twym głosie. Wiedziałem, jak on umié ranić serce, które go kocha— i litość była piérwszém ogniwem tych kajdan, którémi teraz dzwonię, i wzajemnéj litości wyprosić nie mogę. Gdybym był wówczas ten uśmiéch obaczył, byłbym nie zdradził przyjaźni i nie zszedł z drogi rozumu. — Aleś była ostrożna i zręczna. *(P. Adamowa chce zadzwonić, Karol chwyta za dzwonek i przytrzymuje jéj rękę).*

Karol.

Oddaj mi pani ten dzwonek — jeżeli cokolwiek życzliwości masz dla mnie — oddasz. *(P. Adamowa patrząc nań z tkliwym uśmiéchem oddaje — Karol okrywa jéj rękę pocałowaniami).*

Karol.

Kochaszże mnie?

P. Adamowa.

Na cóż wyraz! — O! wierz mi pan, miłość póty rośnie, póki tajemną, domyślną mową się

wyraża. Kto raz wymówił: kocham cię, już w sercu jego południe minęło.

Karol.

Dziwna kobiéto! gdybyś ty wiedziała, ilem ja walk w mojéj duszy dla ciebie stoczył; jakim kosztem dokupuję się tego nieba, które mi ta chwila zwiastuje!

P. Adamowa.

Zanadto pochopny pan jesteś w swych nadziejach. Proszę zadzwonić i nie mówić do mnie ty—na to potrzeba więcéj zasługi.

Karol.

Jeszcze chwilkę.

P. Adamowa.

Ktoś zajechał, jeszczem niezupełnie ubrana, wróć pan do sali — nie tędy; (*otwiéra mu tajne drzwi*) tędy wyjdź — do widzenia.

Karol (*we drzwiach stojąc*).

Jutro?

P. Adamowa.

Dziś jeszcze.

Karol.

Tu?

P. Adamowa.

Tam, śród gości, tu nigdy. (*Karol wychodzi; p. Adamowa siada zamyślona po — chwili*) Droga moja ślizka, i w głowie mi się kręci. — A tamten? jeśli przyjedzie? — nie, nie chcę o tém myśléć. Może przyjdzie szczęśliwa chwila, co mi pokaże ściezkę, która mnie z tego labiryntu wyprowadzi. (*Dzwoni, Anusia wchodzi*) Obacz jeszcze; może czego brakuje? czy jest już kto?

Anusia.

Mężczyzni.

Lokaj (*wchodzi*).

Pani pułkownikowa zajechała. (*Odchodzi*).

P. Adamowa.

Idę -- czy już?

Anusia.

Obacz się pani.

P. Adamowa.

Zdaje się, że dobrze.

Anusia.

Pomiarkujesz pani po przywitaniu pułkownikowéj, jeżeli co zgani; idź pani śmiało (*p. Adamowa wychodzi*).

Anusia (*sprzątając nuci*).

Cóżto za chłopiec piękny i młody?
Jakażto przy nim dziewica?
Cóżto za chłopiec, cóż to za chłopiec?
(*Z westchnieniem*) Ach! niéma żadnego (*zabiéra niektóre rzeczy i wychodzi*).

SCENA DRUGA.

(*Salon p. Adamowéj, jak w końcu drugiego aktu. — Na prawo drzwi do sypialnego pokoju, wpół otwarte; na lewo do jadalnego; w środku do sali balowéj, mocno oświeconéj, w któréj widać spacerujące osoby. — Hrabia, Antoś, Joachim, Kapitan i inni mężczyzni; kilku w grupie, inni po dwóch spacerują*).

Hrabia (*patrząc na zégarek*).

Zdaje mi się, żeśmy nie zawcześnie przyśli.

Antoś.

Musiało zajść jakieś nieposłuszeństwo ze strony szlarek.

Hrabia.

Jabym innéj szukał przyczyny opóźnienia. Gdzieżto pan Karol Łążski?

Joachim.

Hrabia ma wzrok sokoła.

Hrabia.

Widzę tylko kogo niéma — to nietrudno.

Antoś.

Ale gdzie jest ten, kogo niéma?

Hrabia.

Tego nie widzę.

Karol (*wchodzi uradowany przez salę jadalną*).

Dobry wieczór panom! O kimże mowa?

Hrabia.

Naturalnie o nieobecnych.

Karol.

To po ludzku.

Antoś (*do Karola*).

Jak się masz kolego! Masz twarz jaśniejącą do zazdrości.

Karol.

Jakto rozumiész?

Antoś.

Musiało ci się coś szczęśliwego zdarzyć.?

Karol (*witając się z innemi*).

Jak się macie! (*Do Antosia*) Szczęśliwego? — być może.

Joachim.

Gdzieżeś był? — wstępowałem do ciebie.

Karol.

Potém ci powiem. — Damy wchodzą.

(*Pułkownikowa i inne panie i panny po kolei wchodzą; w téjże chwili p. Adamowa przez środkowe drzwi wbiega i wita gości*).

P. Adamowa.

Przepraszam po milion razy, żeście panowie czekali.

Pułkownikowa.

Moje życie! jakże się ty masz teraz?

P. Adamowa.

Ach! sama nie pojmuję, dlaczego mam się dobrze. Miałabym tyle powodów być chorą.

Pułkownikowa.

Cóż ci to?

P. Adamowa.

Ach! wiele rzeczy, o których późniéj.

Pułkownikowa.

Widać, moja duszo, że coś zajść musiało. Zwyczajnie ci się i toaleta lepiéj udaje.

Jedna z panien.

Owszem ciociu! mnie się zdaje, że bardzo ładna.

P. Adamowa (*zaspokojona dziękuje umizgiem panience*).

Dobry wieczór, kochany hrabio! — Jakże się ma pan Karol, ani obaczyć teraz pana nie można.

Pułkownikowa (*do sąsiadki*).

To nieprawda. Mam ci coś powiedzieć, moje życie!

P. Adamowa.

Nie podoba się paniom przejść do sali? — Panie poruczniku! każ grać walca. (*Muzyka za sceną zaczyna*) Panowie! nie pozwalajcież aby damy same przechodziły. — Hrabio! będzieszże tak dobry i zastąpisz tu miejsce gospodarza? Oto stolik i karty. (*Panny tańcujące znikają w drugiéj sali*).

Hrabia.

Dobrze, jeżeli pani każe — tymczasem w zastępstwie.— No, mości panowie; kto pozwoli? (*Hrabia, Antoś, Kapitan i jeszcze jeden siadają do wista*).

Antoś (*rozebrawszy karty*).

Pustki — z hrabią zawsze niebezpiecznie zaczynać.

Hrabia.

Niedawno byłem z innego względu bardzo nieszczęśliwym.

Kapitan.

Tém bardziéj powinniśmy być pewni przegranéj. — No, niezły początek; dwie lewy, cztéry honory. — (*Grają daléj*).

Pułkownikowa (*z sąsiadką wychodzą z sali*).

Nic pewniejszego.

Sąsiadka.

I ja coś o tém słyszałam.

Pułkownikowa.

Za tamtego obiecała pójść — a tu innego bałamuci — fe!

Hrabia (*obracając się do Pułkownikowéj*).

Nie zechce pani być wychodzącą? jesteśmy tylko we cztérech.

Pułkownikowa.

A kto najmłodszy?

Hrabia.

Ja. (*Śmieją się*).

Antoś.

Niech to panią nie zastanawia; hrabiego szczęście odmładza.

(*Karol z p. Adamową w walcu przebiegają salon i na przodzie sceny zatrzymują się*).

Karol.

Maryo! bądź litościwą.

P. Adamowa.

Milcz pan, widzą nas. (*Głośno*) Przepraszam, już panu daléj służyć nie mogę. Niech pan

wróci do sali — ja jeszcze tu mam do czynienia *(wbiega do pokoju jadalnego). (Walc ustaje — muzyka wpada w kadryla, tańczą w sali).*

Pułkownikowa.

Czy uważałaś, jak ich twarze były blizko siebie — i taki sam ma kwiat na głowie, jak u niego wstążeczka przy fraku.

Sąsiadka.

A prawda, tego nie uważałam. *(Grający wstają).*

Antoś.

Na panią koléj.

Pułkownikowa.

Ale proszę się na mnie nie gniéwać, jeżeli jaką myłkę zrobię.

Hrabia.

Owszem, pani grasz według zasady najbieglejszego mistrza téj sztuki.

Pułkownikowa.

Cóżto za zasada?

Hrabia.

„Patrz często w karty sąsiada."

Pułkownikowa.

Pan hrabia jest dziś w satyrycznym humorze.

Hrabia.

Jestem pani partenerem.

(*Wchodzi Karol z kilku mężczyznami*).

Piérwszy.

Czy uważałeś, że ona dziś ładniejsza od wszystkich panien?

Karol.

To nietrudno — bo téż te panny!

Drugi.

A! daj pokój — a panna Hipolita?

Pułkownikowa.

Hrabio! przepraszam cię, że kaléczę partyą.

Hrabia.

O, pani dobrodziéjko! nic nie szkodzi; wszakto nie cudza reputacya.

Joachim (*do Karola, odprowadzając go na przód sceny*).

Nie miałeś listu od Alfreda?

Karol.

Żadnego.

Joachim.

Dwa tygodnie temu, pisał do kapitana, że się spodziéwa wrócić za dni kilkanaście. Jeżeli mu więc nic nie przeszkodzi, będzie dziś lub jutro. Bardzo go nam tu brakuje. Ty Karolu, zrobiłeś się jakiś dziwaczny. Nigdy cię zastać nie można. Ledwiebym się nie domyślił?...

Karol.

Proszę cię, nie chciéj mi swoich domysłów udzielać. Dotrzymuję wam towarzystwa ile mogę. A jeżeli czasem moja głowa i moje serce potrzebuje samotności, nie możecie mi tego miéć za złe. Niezawsze mię niéma w domu wtenczas, gdy wam to mówią (*odchodzi w inną stronę*).

Joachim.

Biédny Alfred!

Jeden z komp. (*do Joachima*).

Panna Zofia pana czeka.

Joachim.

Ach! zamówiłem ją do mazura — idę.

P. Adamowa (*wchodząc z jadalnego pokoju*).

Nie chciejcie państwo zaczynać nowego tańca—przekąska na stole.—Niech grają poloneza.—Panie hrabio! proś tych panów (*grający wstają*).

Hrabia (*rozsuwa karty przed sobą*).

Na mnie dawać.

N.

Nacóżeś kapitanie bił królem, trzeba było położyć waleta.

Kapitan.

Chciałem, aby sam król powąchał trochę prochu.

(*Polonez. — Parami przechodzą przez salon. — Karol z p. Adamową; wkrótce muzyka ustaje, słychać tylko oddalony szmér. — Po chwili, z sali wychodzi Alfred w surducie, blady, ponuro wokoło pogląda*).

Alfred.

Jak tu wesoło! — jak tu jasno — jak tu krew szybko uderza i serce wysoko bije! (*Patrzy ku sali jadalnéj*). Ucztą pokrzepiają siły, aby ciało wystarczyło myśli, i w takt z nią razem zdążyć mogło. (*Przechodzi do drzwi p. Adamowéj — i zagląda*) I tu wszystko jak było — a przecież wszystko inaczéj. — Bo nie ta myśl, inne życzenia napełniają jéj schronienie. (*Przypatruje się*) Ha! coto jest? (*Wchodzi — i wraca nagle, przebiegając list Karola*) Więc już tak rozrzuca na swym stole jego słodkie oświadczenia! — Dziś, dziś pisany; jeszcze widzę na tych słowach ślady jéj oka tchnącego żądzą. Nie spodziewała się, że i moje się tu znajdzie i roziskrzy się — nie radością; zapłonie — nie tryumfem. — Mój Boże! kilka tygodni jak wszystko zmieniło. Na tym samym stole leżały pamiątki odemnie. — Moje zapytania jak spała — jak przepędziła ranek — czy wesoła? czy spokojna? czy szczęśliwa? — O! ona szczęśliwa — bo jéj szczęście w przemianie. (*Zagląda do sali jadalnéj*). Siedzą obok siebie. — Ich ręce ukradkiem się dotykają; ich krew podnosi się w pulsach na te tajemne

znaki porozumienia, których nikt nie widzi, ale które ja widzę i czuję — tu. —

Wszedł więc w moje prawa! Stargał wszystkie związki! tę świętą kartę braterstwa i przyjaźni rozerwał, zmiął, tak, jak ja niszczę jego oświadczenia, jak zemnę jego nadzieje, jak zetrę jéj dumę. *(Spoziera przypadkiem w lustro)* O! mój Boże! jakże ja wyglądam! nieprzystojnym tu będę gościem i niespodziewanym; ale na twarzy mojéj jest świadectwo tych praw, po które się upomnieć przychodzę. Lecz mamże okazać całą moję boleść? Śmiać się będą, szydzić ze mnie. Łza bólu, skarga miękka i głęboka traci swoję świętość, gdy się pokazuje obojętnym i nieprzyjaciołom. Przywitam ich gość niezaproszony, mową niespodziewaną. Każde moje słowo niech będzie ostre jak żelazo, ale jak żelazo — zimne.

(Słychać wrzawę wstających).

Powstają — ha! oby mi tylko siły wystarczyły.

Karol *(za sceną).*

Panowie! jeszcze zdrowie gospodyni.

Młodzi.

Wiwat — wiwat, zdrowie gospodyni! *(Polonez.)* Karolu! idź naprzód. — Gospodyni na-

przód. — Niech rej wiedzie. (*Wchodzą parami. Karol z p. Adamową — za niemi inni*).

P. Adamowa (*obracając się we drzwiach*)

Przepraszam moje panie kochane, ale cóż ja mam robić z temi szaleńcami (*wchodzą*).

Alfred (*zastępuje jéj drogę i odbija*).

Za pozwoleniem — służę pani.

P. Adamowa (*przerażona*).

Ha! coto jest?

Alfred.

Czemu się pani dziwi — polonez — a pani oddawna tańczysz w odbijanego (*muzyka przytłumia się, po chwili ustaje— pomiędzy gośćmi rozmaicie się grupującemi, powstaje szmér i znaki porozumienia. Karol drży i nie może przyjść do słowa*).

P. Adamowa (*przychodząc do siebie*).

Prawdziwie jest się czemu dziwić; bo nie przypominam sobie, abym pana zaprosiła.

Alfred.

Byłem raz nazawsze zaproszonym i do wszelkich tańców.

P. Adamowa (*uderza go w twarz rękawiczką*).

Kłamiesz pan.

Alfred (*porywa za rękę Karola*).

Ty mi za to odpowiész — jutro.

Hrabia.

Ja będę waszym sekundantem.

Alfred.

Przyjmuję.

Karol.

I ja przyjmuję. — Ale ty wyjdź ztąd w ten moment.

Alfred.

Któż cię upoważnia, abyś tu gospodarował? Moje prawa dawniejsze, wiész o tém — i stoję przy nich.

P. Adamowa (*pada na krzesło*).

O! słabo mi! (*Karol przystępuje do niéj*).

Alfred (*odwracając się do gości*).

Czemuż tak państwo stoicie pomieszani i zadziwieni?—Czy ja jestem duch z tamtego świata? czyście słyszeli żem umarł? — twarz moja blada, ale ja żyję — i czuję w téj chwili najwyższą rozkosz życia — zemstę. — Daléj, nie przerywajcie sobie, bawcie się państwo, tańczcie — nic tu niéma nadzwyczajnego — żem tę panią kochał? że ona mnie kochała, a przynajmniéj tak mówiła? że teraz innego kocha, a przynajmniéj tak mówi, chléb to powszedni bracia, i każdy z was spożywać go będzie. (*W ciągu téj mowy, kobiéty się wynosiły, za niemi i mężczyzni — zo-*

stała p. Adamowa z zakrytą obiema rękami twarzą; na drugiém krześle Karol z opartą głową na poręczy — Alfred w środku z założonemi rękami ponuro na nich patrzący. — Ostatnia wychodzi Pułkownikowa z sąsiadką).

Pułkownikowa.

A nie mówiłam; fe! daleko do jutra?

Sąsiadka.

Kilka godzin.

Pułkownikowa.

Jakżeto długo! (*wychodzą*).

P. Adamowa (*powstaje i mierzy wzrokiem Alfreda, który nieporuszony stoi*)

Czém dla pana byłam nie w jednéj, ciężkiéj okoliczności — musisz pamiętać. Jakeś się ze mną obszedł, to wszyscy widzieli. Jesteś nikczemny, podły, gardzę tobą (*wychodzi*).

Alfred (*przystępuje po chwili do Karola*).

Karolu! dlaczegoś ty mi to zrobił?

Karol (*podnosząc głowę*).

Na to ci odpowiém jutro, za cmentarzem, o trzy kroki.

Alfred.

Dobrze — ale dziś tu mi jeszcze odpowiédz: nicże ci serce nie wyrzuca? mnie, przyjacielowi, bratu, tyleś wlał goryczy w duszę! Pamiętasz ostatnie słowa moje? kiedym się z tobą żegnał, chciałem cię prosić, chciałem cię za-

kląć — alem nie mógł tego słowa wymówić, bo przyjaźń świętą rękę na ustach moich położyła. Jéj nie żałuję — nie, bo tego nie warta; i ty wkrótce ją poznasz. — Przyrzekła mi zostać na wsi. Mój Boże! z jakiém uczuciem dojeżdżałem do tego miejsca! z jakiém biciem serca obaczyłem dym nad tym domem, w którym wyobrażałem ją sobie stęsknioną, czekającą; w którym spodziéwałem się, że mi zapłaci szczęściem i miłością. za moję miłość czystą i ostrożną! Zastałem pusto — głucho. W kilka godzin po mnie wyjechała — tu, aby bałamucić drugiego. — Bo ona cię bałamuci, Karolu; twoje nadzieje, to gruszki na wierzbie. — Ja ją znam (*z mocą*) a ty dajesz się oszukiwać, jak żak— i oszukałeś moję przyjaźń jak zdrajca. (*Chwyta go za rękę*) Dlaczegoś to uczynił?— powiédz.

Karol.

O tém się dowiész — jutro. Nad nią zemściłeś się dostatecznie. Nie masz powodów skarżyć się, jak nie miałeś prawa żądać stałości po sercu światowéj kobiéty, ty, który sam nie pokazałeś — żadnéj.

Alfred.

Coto jest?

Karol.

Kiedym obaczył łzy téj nieszczęśliwéj dziewczyny, któréj odebrałeś honor, pokój, przyszłość; którąś porzucił na los szczęścia, którąś wystawił na nędzę, a może na hańbę...... przestałem cię szacować, i wtenczas obowiązki nasze znikły.

Alfred (*zakrywa sobie oczy — po chwili*).

Prawda, byłem występnym — ale tobież przystało wymierzać sprawiedliwość?

Karol.

Któż byłby panem oburzenia, widząc tę boleść, która ją trawi, te łzy, które przed obcém okiem połyka; tę pracę, którą nędzę i głód odgania! O! niewart byłeś jéj serca, aleś wart losu, który cię tu spotkał!

Alfred.

Nie usprawiedliwiłeś się.

Karol.

Nie myślałem o tém.

Anusia (*wchodzi*).

Pani chce spać, i prosi, żebyście panowie już sobie poszli.

Karol.

Powiédz, że może spać spokojnie — będzie zemszczona (*wychodzi*).

Alfred.

A odemnie powinszuj, że chce spać (*wychodzą*).

Anusia (*kiwając głową*).

O! mój Boże! mój Boże — ja mówiłam, że krwawnik będzie stosowniejszym (*wychodzi*).

SCENA TRZECIA.

(*Pokój hrabiego.— Hrabia, Antoś, Joachim, Kapitan— wchodzą*).

Hrabia.

A wiécie asanowie, że to szczególne zdarzenie!

Joachim.

Biédny Alfred!

Antoś.

Biédna pani Adamowa!

Kapitan.

Biédak Karol! za głupstwo się strzelać; żeby to przynajmniéj przy kartach!

Hrabia.

Ja wam powiadam, że najbiédniejsze będą jutro konie pułkownikowéj.

Antoś.

Czy uważaliście, jak mamy i ciocie córeczki swoje sprzątnęły?

Hrabia.

Widziały dosyć. I bądźcie asanowie pewni, że widok kobiéty dobrze wychowanéj, którą własna wina zmusza uderzyć mężczyznę w twarz, dłużéj im zostanie w pamięci, niż perory matek i ciotek.

Joachim.

Czy doprawdy hrabio będziesz sekundantem Alfreda?

Hrabia.

Ja będę sekundantem obudwóch i po mojemu. Was zaś moi panowie, jako kolegów i przyjaciół do pomocy tylko wzywam. Asan, panie Antoni, udaj się do Karola, a wasan, panie Joachimie, do Alfreda — niech mię uwiadomią o godzinie, miejscu i broni. Więcéj od was w téj sprawie nie żądam. Jesteście młodzi i szkodaby, gdyby was pociągniono do odpowiedzialności. Ja łatwiéj znajdę sposoby tłumaczenia się. — A teraz może skończymy partyą, którą nam ten szaleniec przerwał.

Kapitan.

Zgoda!

Antoś.

Już późno!

Joachim.

Późno — a potém, nie wiem gdzie odszukać Alfreda.

Hrabia.

Mój człowiek asanu pokaże.

Antoś.

Dobranoc panie hrabio.

Hrabia.

Dobranoc panom (*wychodzą*). Kapitanie! możeszże mi jednę małą zrobić przysługę?

Kapitan.

Z całéj duszy; co każesz?

Hrabia.

Jutro między dziewiątą i dziesiątą bądź w kościele Dominikanów.

Kapitan.

Zgoda — adieu (*wychodzi*).

Hrabia (*sam*).

Moim tylko płaszczem może się okryć ten wstyd, i ta tylko ręka potrafi złośliwe gęby zamknąć (*wychodzi*).

SCENA CZWARTA.

(*Pokoik Kasi*).

Kasia (*wchodzi z lampą i siada do szycia*).

Jak cicho! całe miasto we śnie. Najpracowitsza ręka już odpoczywa, najczujniejsze oko już się zamknęło — bo tu spokojnie. — O! mój Boże! jak mnie oczy bolą — musi już być bardzo późno. (*Zégar bije*) Cicho! godzina. Raz, dwa, trzy — trzecia. Dosyć już na dziś. Jutro ta sama praca, ta sama pustynia, te same myśli. (*Słychać oddalone stukanie*) Ktoś jeszcze nie śpi; jak mi te uderzenia znane! Tak niegdyś się dobijał, gdy go co w mieście zatrzymało. Przebaczałam, choć o mnie zapominał; zamiast słowa wymówki, odbiérał uściśnienie miłości. (*Zasłania oczy*) Ale na cóż mi teraz ta przeszłość! nie mam już komu przebaczać. (*Słychać kroki na schodach*) Coto jest? czyjeś kroki na schodach! — Czyto sen — czy ja czuwam; (*uderza się igłą w rękę*) krew — nie śpię. (*W téjże chwili otwiérają się gwałtownie drzwi i Alfred wchodzi*).

Kasia.

Alfred! (*Bieży ku niemu z wyciągniętemi rękami i pada zemdlona przy jego nogach*).

Alfred (*stoi przez chwilę nieporuszony, patrząc na nią obłąkanym i smutnym wzrokiem*).

Zawsze ta sama! A ja! — O! to okropnie!

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT IV^ty.

SCENA PIÉRWSZA.

(Salon pani Adamowéj. — P. Adamowa w rannym ubiorze przechadza się. — Anusia).

Anusia.

Niech mi pani wierzy, gdybym była na pani miejscu, dziś jeszcze wyjechałabym.

P. Adamowa.

I jabym to zrobiła, gdybym była tobą.

Anusia.

Choćby dlatego, aby uniknąć oka pułkownikowéj.

P. Adamowa.

Jeszcze mogę znieść jéj spojrzenie, i w razie potrzeby i ją zarumienić.

Anusia.

Czy pani pojedzie z wizytami?

P. Adamowa.

Nie.

Anusia.

To źle, będą myśleli, że to pani tak mocno uczuła.

P. Adamowa.

To pojadę.

Anusia.

A jak pani nie przyjmą?

P. Adamowa (*obrażona*).

Mościa panno!

Anusia (*całując ją w rękę*).

Dobra, kochana pani! Niech się pani nie gniéwa. Pani wié, jak my panią kochamy. Dałabym sobie rękę uciąć, że niejedna co za świętą uchodzi, będzie niżéj od pani, tam gdzie sądzą serce. — Ale z tego przebrzydłego miasta niech pani wyjeżdża.

Lokaj (*wchodzi i oddaje listy*).

Ze wsi.

P. Adamowa (*przeczytawszy*).

O mój Boże! Cóż ja pocznę? — Zawołać mi plenipotenta.

Lokaj.

Przysłał tu wczoraj, że wyjeżdża z miasta (*odchodzi*).

P. Adamowa.

To źle, bardzo źle — to gorsze jak wszystko — tradują mi majątek.

Anusia.

Biédna pani! jedno złe nigdy nie dokuczy.— Tém bardziéj trzeba jechać.

P. Adamowa.

Nieznośne położenie! (*Siada zamyślona — po chwili*) Pokazuje się, że nie można tak z życiem igrać. Są okropne chwile, w których dobry anioł nazawsze odstępować zdaje się. W czyjémże teraz jestem ręku! Dał mi los majątek, jestem blizka jego utraty. Miałam dobre imię — chwila płochości, nieuwaga, próżność — i straciłam ten najdroższy skarb kobiéty. Lata się nasuwają; opadnie ta przemijająca krasa, pogasną oczy, ochrypnie głos, uśmiéch zwiędnie. — O! doprawdy, to okropne położenie!

Lokaj (*wchodzi*).

Pan hrabia Zbicki.

P. Adamowa.

Tak rano! (*Po chwili*) Ach! to mi go niebo zsyła; musi pożyczyć — proś (*lokaj odchodzi*). (*Do Anusi*) Zostaw nas (*Anusia odchodzi*).

Hrabia.

Dobry dzień pani.

P. Adamowa.

Wiész panie hrabio, że nie może być dobry. Cóż cię tak rano sprowadza? Czy chciałeś najpiérwéj obaczyć, jak kobiéta upokorzona znosi swoje położenie?

Hrabia.

Zamiar mój zupełnie inny. Ale ponieważ nie mamy czasu do stracenia, pozwoli mi go pani poprostu i bez przedmowy wynurzyć.

P. Adamowa.

O cóż idzie?

Hrabia.

Przyszedłem pani ofiarować moje imię i moję rękę.

P. Adamowa.

A! to prawdziwie wspaniale!

Hrabia.

Mogęż mieć nadzieję, że ta ofiara nie będzie odrzuconą?

P. Adamowa *(śmieje się)*.

Hrabia.

Pani się śmiejesz, a ja mówię seryo.

P. Adamowa.

Siądźże panie hrabio, i pomówmy seryo. (*Siadają*) Nie kochasz mię?

Hrabia.

Nie.

P. Adamowa.

I nie spodziewasz się, żebym cię mogła kochać?

Hrabia.

Nie.

P. Adamowa.

Na jakichże warunkach będzie umowa?

Hrabia.

Możeszże pani być szczérą?

P. Adamowa.

Czasem.

Hrabia.

Znam siebie; od dzieciństwa noszę w myśli swój obraz i oswoić się z nim nie mogę. Jeżeli pani zdołasz czasem patrzéć na mnie bez wstrętu, będę wdzięcznym, lecz wymagać nie śmiem. Ale możeszże pani miéć dla mnie szacunek?

P. Adamowa.

Ile cię znam panie hrabio, zdaje mi się, że na to zasługujesz.

Hrabia.

Będzieszże pani mogła mieć dla mnie cokolwiek przyjaźni; gdy oceniając siebie, i starając się życie pani uczynić o tyle przyjemném, o ile mi możność pozwoli, niczego więcéj żądać nie będę, oprócz szacunku i życzliwości?

P. Adamowa.

Będę umiała oceniać delikatność twoję, panie hrabio.

Hrabia.

Jesteś pani młoda i piękna — ale lekka.

P. Adamowa.

Więc teraz na mnie koléj — no i cóż?

Hrabia.

Przywykłaś pani do hołdu mężczyzn; oddajesz serce bez wyboru; igrasz z pokojem bliźnich, nie uważając, że jeden może się pomścić za wszystkich; że za ranę serca, może ci odpłacić szczerbą imienia i reputacyi.

P. Adamowa.

Wpadasz już w ton męża panie hrabio, — jednak cóż daléj?

Hrabia.

Będzieszże pani mogła przestać na téj kokieteryi miłéj, uprzejméj, rozumnéj, która trzyma na wodzy nadzieje; co jak szkło przepuszcza oko, jednak stanowi przedział, którego przebyć nie można bez skaleczenia się?

P. Adamowa.

Byłoby to bardzo rozsądnie.

Hrabia.

A jeszcze rozsądniéj byłoby wystąpić ze szranków, póki są siły, mogąc zwyciężać i mając kogo, niż wyjść nareszcie — dla braku przeciwnika.

P. Adamowa.

Nie jestem jeszcze tak stara.

Hrabia.

Do tego idzie — lata nie stoją.

P. Adamowa.

Na nieszczęście, to prawda.

Hrabia.

Położenie pani w téj chwili bardzo przykre. Ale od woli pani zależy, aby przestało niém być za godzinę. Tych, co cię zechcą upokorzyć, będziesz mogła upokorzyć nawzajem, pokazawszy im człowieka, który ci dał dowód szacun-

ku, który przez ćmiącą zasłonę kokieteryi i lekkości, dojrzał i ocenił gruntowną dobroć serca, i niestarzejące się powaby rozumu (*zatrzymuje się*).

P. Adamowa.

Słucham pana — a pan wiész, że kobiéta która słucha, przez pół zezwala.

Hrabia.

Przywykłaś pani do życia wystawnego, a majątek pani zrujnowany; i ta złocona nitka wkrótce się przerwać może.

P. Adamowa.

Na nieszczęście i to prawda; mam tego dowody w ręku.

Hrabia.

Jestem bogaty! — Połowa moich intrat jest na rozkazy pani. Będziesz mogła dogodzić i dobroci swego serca i swoim gustom. Mój pałac w Jarosławku przygotowany na przyjęcie pani. Kazałem go ozdobić i urządzić, aby nic nie brakowało. Co się jednak pani nie podoba, możesz zmienić; co każesz przydać, i to łatwo; bo jest i chęć i możność. Nie mogę pani obiecywać szczęścia; ale przyrzekam delikatność, dostatek, pokój, a w razie potrze-

by — przyjacielską przestrogę. Pani się namyślasz?

P. Adamowa.

Panie hrabio! mówisz tak rozsądnie, że prawdziwie nie wiem co odpowiedzieć.

Hrabia.

Właśnie na słowa rozsądne, najłatwiejsza odpowiedź.

Lokaj (*wchodzi*).

Pan Karol Łąžski.

(*Hrabia patrzy na nią przenikliwém okiem*).

P. Adamowa (*zmieszana*).

Otoż macie. — Cóż ja z nim pocznę? (*Po chwili*). Panie hrabio! umowa nasza zdaje się skończoną.

Hrabia.

Ja nie wiem. Decyzya zależy od pani.

P. Adamowa.

Postąp pan teraz z nim, jak ci się podoba.

Hrabia (*całuje ją w rękę*).

Dziękuję pani. (*Do lokaja*) Przeproś, pani teraz przyjąć nie może (*lokaj wychodzi*).

P. Adamowa.

Ha! co cierpię!

Karol (*rozrywając gwałtownie drzwi*).

Jakto? kiedy tu jest kto inny, ja wejść nie mogę?

Hrabia.

Widzi pani, coto jest pozwolić nadto.

Karol.

Zapomniałaś pani w jakiéj chwili przychodzę. Za parę godzin może kula przeszyć te piersi. Chciałem cię jeszcze zobaczyć; powiedziéć ci, że jeśli mam umrzéć, żałować tego nie będę, a pani mi drzwi zamykasz?

P. Adamowa.

Nie obowiązywałam pana, abyś życie swoje dla mnie narażał.

Karol.

Coto za mowa? któż mi tu za to przyjęcie odpowié?

P. Adamowa.

Dosyć z pana będzie jednego pojedynku.

Karol.

Maryo!

P. Adamowa.

Przypomnij sobie panie Karolu, że to jest dom cudzy; a nadewszystko, że jest dom kobiéty. Te piorunujące głosy równie nie przy-

stoją dobremu wychowaniu, jak przeciwne moim nerwom, które są drażliwe i słabe. A potém, stosunki nasze zupełnie się zmieniają. Nauczyliście mię, moi panowie, jak z wami postępować. Napiéracie się jak dzieci, ozuchwalacie się w pół-prawach waszych, jak przywłaszczyciele. Jeśli która z nas ma tyle nierozsądku, że wam okaże cokolwiek słabości; już przygotowaliście kajdany na jéj myśl, na jéj serce, i gniéwacie się, jeśli się okuć nie daje. Byłeś pan świadkiem sceny wczorajszéj i widziałeś jak stłukł moje imię, zapomniawszy o tém, że to tak łatwo, i że potłuczonych kawałków skleić nie można. On nie miał więcéj praw nademną, jak i pan, panie Karolu. Co mię spotkało od niego wczoraj, to mię może spotkać od pana jutro, lub po jutrze. Ja zaś nie życzę sobie, aby się podobne sceny powtarzać miały. Dlatego proszę pana, panie Karolu, abyś był czasem moim gościem, ale nie myślał sobie, że będziesz mógł być czém inném.

Karol.

Ledwie uszom moim wierzyć mogę! Jakto? więc pani mnie nie kochasz?

P. Adamowa (*pokazuje mu list jego do Alfreda*).

Czy znasz tę rękę panie Karolu?

Karol.

Moja.

P. Adamowa.

Bądźże łaskaw przeczytaj teraz ten list razem ze swoim przeciwnikiem, i wytłumaczcie sobie moje z wami postępowanie. Początek jest dla niego, koniec dla pana (*oddaje mu list*).

Karol (*rzucając okiem na koniec listu*).

Więc chciałaś tylko pani dać dowód swéj sztuki?

P. Adamowa.

Wyzwałeś pan. — Przepraszam.

Karol.

Zimna lalko! tryumf twój niezupełny. Nie miłości mi twojéj żal, ale mojego głupstwa (*wychodzi*).

P. Adamowa.

Panie hrabio! do ciebie teraz należy czuwać, aby to pokrzywdzenie było — ostatnie.

Hrabia.

Spuść się pani na mnie. — Więcéj do tego nie przyjdzie. — Ale czas uchodzi. (*Podaje jéj rękę*) Służę pani.

P. Adamowa.

Dokąd?

Hrabia.

Do Dominikanów. — Czekają nas.

P. Adamowa.

Byłeś więc tak pewny?

Hrabia.

Byłem pewny, żeś kobiéta dobra i rozsądna, i że potrafisz ocenić i moje szczére chęci i swoje położenie.

P. Adamowa (*podając mu rękę*).

Masz mię (*wychodzą*).

SCENA DRUGA.

(*Pokoik Kasi. — Kasia wchodzi po chwili. — Alfred wchodzi i przechadza się ponuro*).

Kasia (*przystępuje do niego i kładzie rękę na jego ramieniu*).

Alfredzie! nie bądź tak smutny i zamyślony. Cierpiałam wiele, to prawda. Odstąpiłeś mię; pobiegłeś, gdzieś widział więcéj powabów, więcéj światła, więcéj rozumu. Odrzuciłeś skromny kwiatek, który przylgnął do twojéj piersi, aby się pobawić okazałą różą. — Zakłuła cię — i schyliłeś się znowu i podjąłeś dawną twą pieszczotę. (*Bierze jego rękę*)

Dziękuję ci mój Alfredzie — jam już zapomniała.

Alfred (*cofając zwolna rękę*).

Nie przyzwyczajaj się do mnie, moje dziécię.

Kasia.

Boże! miałażbym cię znowu stracić? (*Alfred odwraca się*). Alfredzie! wiészże ty, jak wiele jeszcze siły moje znieść mogą? — O cóż tu idzie? — milczysz?

Alfred.

Nie pytaj mię o nic. (*Przechadza się — po chwili*) Są w życiu położenia, w których człowiek radby być sam, jak liść zeschły unoszący się w powietrzu, oderwany od pnia z którego wyrósł, od ziemi co go wykarmiła. Jakakolwiek burza nim pomiecie, żadne włókno nie zadrży; gdziekolwiek upadnie, nigdzie się jego upadek nie odbije.

Kasia.

Jakże ty mię przestraszasz! czy idziesz na śmierć?

Alfred.

Może.

Kasia.

Biada mi! (*Siada i oczy zasłania*).

Joachim (*wchodzi*).

Alfredzie! meta odmierzona, godzina się zbliża, hrabia uwiadomiony — żebyś się nie spóźnił (*odprowadza go w stronę*).

Kasia (*która z przerażeniem słuchała*).

Godzina! meta! hrabia! (*wybiega*).

Alfred (*ogląda się*).

Gdzież ona? Jakżeś był nieostrożnym! — Gdzież pójdzie? biédna! — Joachimie! dawałeś mi dowody przychylności. Bez wielkich oświadczeń przywiązania i braterstwa byłeś może lepszym, szczérszym przyjacielem, niż ten, z którym się zmierzę. Chceszże mi dać dowód przyjaźni?

Joachim.

Mów, co tylko w mojéj mocy.

Alfred.

Jeśli zginę, oddasz ten list Kasi. Wyszukasz jéj jaką dobrą sługę i odwieziesz do mojéj matki. Tu list do niéj; tu cokolwiek pieniędzy, co mi zostało — resztę twojemu sercu zostawiam.

Joachim.

Zrobię wszystko — ale nie lubię takiego usposobienia. Zmiękłeś jak wosk — nie utrzymasz pistoletu. — Czy nie masz odwagi?

Alfred.

Odwagi? czyż jéj nie widziałeś? Ale maszże ty matkę?— w któréj sercu odbije się huk broni, co mię obali! miałżeś kochankę, ale taką, która honor, cnotę, przyszłość, siwy włos starego ojca, wszystko oddała dla mnie, i którąm raz zranił — przez zdradę; a teraz drugi raz zabiję przez—śmierć lub obojętność? Bo ja teraz kochać jéj nie mogę tak, jak na tó zasługuje. O! to przeklęte położenie!

Joachim.

Więc się nie bij.

Alfred.

Cofnąć się?— to być nie może.

Lokaj Karola (*oddaje bilet Alfredowi*).

Od mego pana.

Alfred.

Od Karola? do mnie? (*Oddaje Joachimowi*) Przeczytaj Joachimie czego chce.

Joachim (*czyta*).

„Bić się nie będę, i proszę cię na wszystko przyjdź do mnie; czekamy cię."—Karol.

Alfred.

Cóżto u milion djabłów! ma mnie za żaka? (*Dobywa pistolety*) To prezent od niego; jeszczem nie miał zręczności sprobować czy wart dawcy (*wychodzą*).

SCENA TRZECIA.

(*Pokój hrabiego — lokaje zwijają się — po chwili hrabia wprowadza panią Adamową*).

Hrabia.

Witam cię więc w moim domu, kochana żono. Zostaniemy tu póki zechcesz, wyjedziemy dziś jeszcze, jeśli każesz. (*Do kamerdynera i do służby*) To pani wasza.— Zapowiadam wszystkim, aby jéj każdy rozkaz dwa razy prędzéj jak mój był spełnionym. (*Słychać za sceną głos Kasi*) Coto jest? (*Kasia wpada przerażona*) Tyżeśto moję dziécię!

Kasia.

Panie hrabio! Obiecywałeś mi swoje łaski— chciałeś być moim dobroczyńcą — stań się nim teraz; masz porę.

Hrabia.

O cóż idzie?

Kasia.

Strzelać się będą, wkrótce, teraz może — nie wiedzą o tém, że ich kula uderzy w to serce, które pęka.

Hrabia.

Dobrze żeś mi przypomniała; jestem ich sekundantem. (*Do kamerdynera*) Koni moich nie wyprzęgać, i dla pani karéta, może zechce wyjechać do sklepów (*słudzy wychodzą*).

Kasia (*patrząc na p. Adamową, mierzy ją wzrokiem*).

Ta pani tu?

P. Adamowa.

Cóżto za dziewczyna? czy nie ta?... jakże?...

Hrabia.

Uspokój się moja Kasiu! bezemnie zacząć nie mogą.

P. Adamowa.

To Kasia! (*śmieje się*).

Kasia.

Śmiejesz się? Maszże ty sumienie! kiedy przez płochość twoję dwa życia na włosku i rozpacz do tego serca zaziéra?

Hrabia.

Mów uważniéj Kasiu, to moja żona.

Kasia.

Żona?

Hrabia.

To miejsce, któregoś ty nie przyjęła, ta pani przyjąć raczyła.

P. Adamowa.

Jakto? więc piérwéj oddawałeś się — jéj?

Hrabia.

I odrzuciła moję rękę.

P. Adamowa.

Ha! widzę że czas mojéj pokuty zaczął się.

Hrabia.

Byćto może — będę się starał, abym ci ją przyjemną uczynił. — Chodź Kasiu, nam trzeba pospieszać. (*Wychodzą*) Do widzenia, kochana żono.

P. Adamowa (*sama — po chwili*).

O! jak ten głos dziwnie brzmi w moich uszach! ledwie się opamiętać mogę, co się ze mną stało. — Tyle upokorzeń!

Kamerdyner (*wchodzi*).

Konie gotowe.

P. Adamowa (*zrywa się*).

Dobrze.

Kamerdyner.

Dokąd pani każe, do sklepów?

P. Adamowa.

Do kościoła (*wychodzi*).

SCENA CZWARTA I OSTATNIA.

(*Pokój Karola. — Wchodzą: Alfred, Karol, Joachim, Antoś*).

(*Alfred w złym humorze, patrząc w ziemię*).

Karol (*staje przed nim*).

Jużto daruj! aleś sam winien. Możnaż było list taki, tak niebacznie rzucać! Gdyby nie twoja nieuwaga, nie byłoby całéj téj historyi.

Antoś.

Gdyby téż ludzie zawsze byli rozsądni, toby żadnéj historyi nie było; i świat byłby djable nudny. Wtenczas, słowo daję, dla zrobienia dywersyi wyzwałbym piérwszego kogobym spotkał — ale dziś, ta rzecz niewarta waszego gniewu, jakem wasz przyjaciel.

Joachim.

Śmiać się, śmiać się z tego.

Karol.

Ją za siebie sam ukarałeś; mnie za ciebie ona ukarała. Z jaką ironią! z jaką przeklętą godnością mię przyjęła! Ukarzmy ją teraz obadwa i zgódźmy się — oto moja ręka.

Wszyscy.

Zgoda, zgoda (*Alfred ponuro milczy*).

Karol.

Cóż u djabła! czy myślisz że się boję?— boję się prawda śmieszności, ale nie śmierci.

Joachim.

Dalibóg szydzić z was będą. (*Kapitan wpada zadyszany*) Niech kapitan powié.

Kapitan.

Ja wam co innego powiem — zgadnijcie zkąd idę? — uf!

Antoś.

To trudno.

Kapitan.

Zgadnijcie com widział, czego byłem świadkiem, ja, ten sam, którego tu widzicie przed sobą?

Antoś.

Możeś się z damą treflową spotkał na ulicy?

Kapitan.

Nie. Otoż wam powiem: pani Adamowéj już niéma.

Karol.

Niech rusza z Bogiem.

Kapitan.

To też poszła.

Antoś (*wytrząsając fajkę*).

Dokąd?

Kapitan.

Za mąż.

Wszyscy.

Za mąż (*śmieją się*).

Karol.

Czy nie za hrabiego?

Kapitan.

U Dominikanów, przed godziną, przy mnie odbyła się ceremonia. Macie relacyą!

Alfred (*przystępuje do Karola*).

Karolu! oto moja ręka.

Wszyscy.

Wiwat zgoda!

Karol.

Hej! wina!

Antoś.

Teraz hrabia ma cztéry miliony.

Joachim.

A to jak?

Antoś.

Miał trzy (*śpiéwa*):

Alboż taka żona,
Niewarta miliona!

Karol.

Mnie się zdaje, że wkrótce będzie miał tylko dwa.

Alfred.

I to być może (*przechadza się smutny*).

Joachim.

Niechże sobie żyją, a my obchodzim wesele. Wiwat zgoda!

Karol.

I drugie jeszcze będziemy obchodzić wesele, daleko lepiéj dobrane.— Nieprawda Alfredzie?

Alfred.

Czy do mnie mówisz?

Karol.

Naturalnie; gdyby Kasia mnie kochała, nie mówiłbym do ciebie (*odkorkowują szampana, na to wchodzi hrabia i Kasia*).

Hrabia.

Jakto moi panowie! strzelacie bezemnie, który jestem waszym sekundantem?

Kasia.

Niéma pojedynku! ach! (*Alfred odwraca się — Kasia patrzy nań zadziwiona*).

Karol.

Wina! — wiwat hrabia!

Hrabia.

Mości panowie! najpiérwszym, najświętszym obowiązkiem sekundanta jest zgodzić. — Zamiast pistoletu strzela butelka, piérwszy więc toast należy dla mnie.

Karol.

Wiwat sekundant! (*pije*).

Hrabia.

Drugi należy także dla mnie — wyzwaliście mię i odsadziłem was obudwóch.

Karol.

Wiwat nowożeniec! (*pije*).

Hrabia.

Choć nie wszędzie mi się równie powiodło.

Antoś.

Mimo milionów?

Hrabia.

Téj pięknéj twarzyczce, téj stokroć piękniejszéj duszy ofiarowałem moje imię i dziedzictwo moich milionów. Alfredzie! odrzuciła

je — dla ciebie — teraz na ciebie koléj zapłacić jéj za to.

Alfred.

Czuję ja jéj dobroć i miłość. (*Zaambarasowany*) Ale przyznam się w téj chwili (*odchodzi na bok, wszyscy idą za nim — Kasia pogląda nań z wyrazem rozpaczy i wybiega*).

Hrabia.

Co? co? więc nie żenisz się? — szkoda — miałem dobrą myśl.

Karol (*z gniewem — ogląda się*).

Z kimże się będzie żenić, kiedy już jéj niéma.

Alfred.

Gdzie ona? ha! (*Wychodzi*) Kasiu! Kasiu!

Hrabia.

O! tak, musztarda po obiedzie — ale dokądże pobiegła?

Antoś (*w oknie*).

Jezus Marya! — prosto do rzeki.

Hrabia.

Otóżto widzicie panowie, jak niebezpiecznie żartować z sercem biédnéj dziewczyny. — Z damami możecie poigrać, bo te poigrają z wami. Niewinne dziewczęta szanujcie, bo te kochają. Dama przez was zapomniana, także zapomni, dziewczyna zapomniana, pójdzie do rzeki —

i utopi się. (*Gwałtownie*) Ale biegnijcież asaństwo. Cóż stoicie jak malowani? (*niektórzy wychodzą spiesznie*).

Karol.

Mówiłem zaraz, że on jéj niewart. (*Bierze kapelusz*) O! biada!

Hrabia.

To porządek naturalny — kiedy która wychodzi z domu bez wiedzy ojca i matki, to idzie prosto — do rzeki. — Ale pójdźmy, trzeba ją ratować. (*Patrzy w okno*) No, dzięki Bogu! teraz posag jéj do mnie należy. (*Wychodzą*).

KONIEC.